

OKRUCHY.

Zbiór powiastek dla małych dzieci.



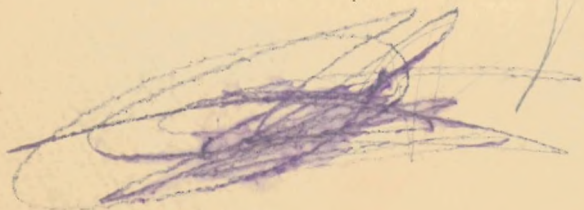
Z ilustracjami.

POZNAŃ.

Nadrukem Księgarni A. Cybulskiego.

Wydawca: Drukarnia Dzieniaka Poznańskiego.

1897.



66

66





Przyjemna Władysław

JAN DZIRYT.

OKRUCHY.

Zbiór powiastek dla małych dzieci.



Z 25 ilustracyami.

Nakładem Księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.

Czeionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.

1897.



109607

1. Matka.

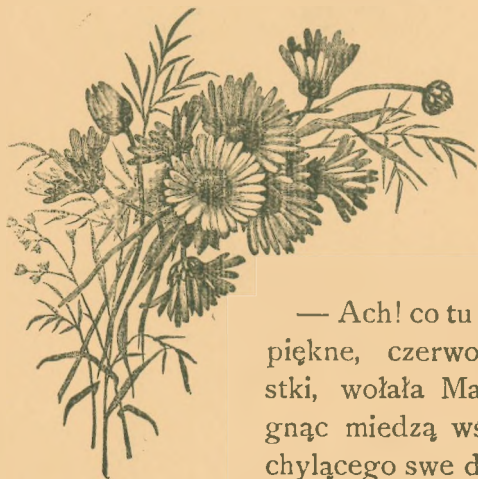
Dziecię! jest mnóstwo Aniołów w niebie,
Co każdy krok twój śledzą z obłoku,
Lecz tu na ziemi, tak blisko ciebie,
Czuwa twój Anioł z łezką na oku.



On cię osłania skrzydły swojemi,
A więc go kochać i czcić potrzeba,
Bo kto zasmuci Anioła ziemi,
To jakby smucił Aniołów z nieba.
Czcij więc i kochaj matkę jedyną,
Bo to twój Anioł, droga dziecino!

Władysław Bełza.

2. W polu.



— Ach! co tu maków, jak piękne, czerwone ich listki, wołała Marylka, biegnąc miedzą wśród zboża, chylącego swe dojrzałe kłosy i zrywając pełną garścią czerwieniące się zdala kwiaty.

— Ja wolę śliczne modraki, jak niebo błękitne, wołał Józio, wyprzedzając siostrzyczkę i wśród złocistych kłosów szukając skromnych bławatków. Dla czego przecież, dodał po chwili namysłu, Pan Bóg rozsiał tyle kwiatów, wśród zboża, zamiast umieścić je w ogrodzie lub na łąkach?

— Odpocznijcie chwilkę, rzekła starsza siostra, towarzysząca dzieciom, a odpowiem ci na twe pytanie.



Dzieci usiadły na miękkiej murawie, osłonięte od promieni słońca lasem dojrzałego zboża, a siostra starsza zaczęła opowiadać.

Dawno już temu wysłał Pan Bóg na ziemię aniołów swoich, aby przypatrzyli się pracy i trudom ludzi i ucieszyli wspólnie z nimi owocem trudów tych i zabiegów.

Aniołowie zstąpili na łąn zboża bogacza i z radością przyglądali się pełnym, złocistym kłosom, obiecującym wydać plon obfity. Radość ich przecież wnet się zmniejszyła, gdy tuż obok ujrzeli wąski zagon biedaka, uboższego rolnika, który, źle uprawiony, odznaczał się lichymi i rzadkimi kłosami. Bogacz miał na zawołanie swe i ludzi, którzy uprawili mu łąny i kiesę pełną złota na opłacenie pracy ich i trudu i sprawienie dobrego zasiewu. — Biedak lichy swój zagon uprawił własnymi rękoma, zrosił go potem swym jedynie, i zdał wszystko na Opatrzność Bożą. Zasmucili się aniołowie i zadumali głęboko. Rozmyślali, jakim sposobem możnaby poruszyć bogacza, aby dobytkiem swym i bogactwy podzielił się z uboższym od siebie.

Naraz jeden z aniołów zawołał:

— Wiem, co uczynię. Otoż zasieję w zbożu bogacza dwa kwiaty, które pięknnością swą i cudną barwą, niby tajemnicze godła, przemówią do serca szczęśliwego posiadacza i skłonią go do udzielenia małej choćby części

darów Bożych, ludziom mniej od niego za-
możnym.

I aniołowie wzięwszy się za ręce, przebiegali łan bogacza, rozrzucając wszędzie nasienie kwiatu czerwonego, godła miłości płonącej, i niebieskiego, jak niebios błękity, jako wspomnienie, że wszystko stamtąd, od Boga pochodzi.

Zostawiwszy pamiątkę bogaczowi, zawrócili na zagon biednego, chcąc i jemu coś pozostawić.

Anioł, pochylając się, zasadził w ziemię drobny kwiateczek i nazwał go niezapominajką, nakazując mu, aby przemawiał do serc bogaczy za braćmi uboższymi.

— Czy tylko bogacz, szczęśliwy z dóstatków swych i powodzenia, zrozumie cichą prośbę skromnego kwiateczka, czy serce jego usłyszy jęk niedostatku? westchnął anioł drugi i pomyślawszy chwilę, uszczknął gałązkę z wieńca, zdobiącego mu skroń, a złączwszy ją z gałązką towarzysza swego, zasadził obiedwie w ziemię. Z gałązek tych powstał kwiatek dwoistej barwy, zwany bratkami, a anioł dał mu polecenie, aby rosnąc na zagonie tak bogacza, jak biednego, przypominał im, że wobec Boga nie ma różnicy pomiędzy

ludźmi i że Bóg pragnie braterstwa wszystkich swoich dzieci.

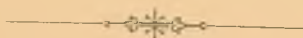
Kwiatki zatem spotykane w zbożu, nie tylko pociągają oko miłą barwą i wonią, ale mają przemawiać do serc i ujmując się za uboższymi, miękczyć litością serca bogaczy, przypominając im obowiązki względem bliźnich.

— O, jak dobrze, że opowiedziałas nam to, siostrzyczko, zawołał Józio, obejmując szyję siostry. Odtąd patrząc na mak ognisty, świecący wśród złocistych kłosów, myśleć będę, że Bóg każe kochać wszystkich i dzielić się z biednymi swym dobytkiem...

— Bławatek, wołała Marylka, przypomni mi zawsze, że wszystko, co posiadamy, od Boga pochodzi, a niezapominajka wydawać mi się będzie odtąd zawsze okiem biednego, błagającego o litość i jałmużnę.

— Bratki zaś, wołał dalej Józio, będą ulubionym moim kwiatkiem, jako godło miłości i równości braterskiej między ludźmi.

Dzieci wróciły do domu uradowane, upatrując odtąd w każdym kwiatku godła myśli Bożej i uprawiając je tem staranniej w swych ogródkach.



3. Pierwszy strzał.



Ważny dzień zaświtał dla Hilarka, a kogut piejąc z brzaskiem jutrzeńki, zwiastował wszystkim wielką nowinę.

„Hilarek skończył dziesięć lat!”

Kury, uśpione na grzędach, obudziły się i otwierając oczy, zaśpiewały chórem:

„Hilarek ma dziesięć lat!”

Flik, taksik, pospieszył z nowiną tą do wyźła Floka, który przyjął go z pewnym rodzajem dumy, bo już o tem wiedział.

Gołąbki, chowając główki w puszyste skrzydełka i tuląc się do siebie, powtarzały to sobie nawzajem.

Hilary, bohater dnia dzisiejszego, nie potrzebuje dowiadywać się o ważnym wypadku od koguta, gołąbków i piesków. — Od sześciu miesięcy myśli on bezustannie o chwili tej, oczekując jej niecierpliwie, ojciec bowiem Przrzekł mu uroczyście, że w dniu tym, za-

mykającym niejako epokę dzieciństwa, Hilarek po raz pierwszy wystrzelił z fuzji.

Ojciec Hilarego, Marcin, będąc leśniczym w jednym z wielkich lasów, zamieszkuje wraz z rodziną śliczny domek, położony wśród kniei.

Jakaż to przyjemność budzić się co ranka w tem gniazdku, zewsząd zielonością otoczonym, przebiegać swobodnie długie szpalery drzew rozłożystych, przerzynające las na wszystkie strony. Jak to rozkosznie widzieć zdala jelenie i sarny, suwające pod wielkimi drzewami, ogromnemi rogami torujące sobie drogę wśród gęstwiny splecionych gałęzi. Jak to zabawnie przypatrywać się wieczorem królikom, wyskakującym i goniącym się po leśnych polankach, patrzeć na wiewiórki, zwinnie skaczące po drzew gałęziach, z podniesionym w górę puszystym ogonkiem, tworzącym jakoby pióropusz nad ich zgrabnym łebkiem, i uciekających trwożliwie za najmniejszym szelestem.

Jakaż to radość towarzyszyć ojcu, wychodzącemu na obławę, odbierać Flikowi lub Flokowi zabita zwierzynę, przytwierdzać ją do torby i z zdobyczą, nie własną wprawdzie, powracać do matki. O ileż większą radość

ta będzie, gdy Hilary do domu przyniesie zabita przez siebie zwierzynę! Dziś właśnie nadszedł dzień, w którym po raz pierwszy ma spróbować szczęścia.

Hilary już umie dobrze celować; — ojciec powiedział mu to już kilka razy, widząc go strzelającego z łuku do wytkniętego celu. Chłopiec nabrał wprawy i zręczności i rzadko kiedy chybiał, a ojciec dumny był z swego jedynaka, spodziewając się, że syn pójdzie w jego ślady, znanego na kilka mil wokoło z celności swych strzałów myśliwca. W dniu urodzin, równie niemal jak chłopiec ucieszony, wręczył mu mały karabinek. Ojciec Marcin wielką przywiązywał doń wagę i często opowiadał, wśród jakich dostał go okoliczności.

Syn bogatego właściciela ziemskiego, chłopiec piętnastoletni, wyszedł na polowanie, małego podówczas Marcinka jako naganiacza zabierając z sobą. Ponieważ młody strzelec nie umiał się dość zręcznie obchodzić z bronią, nabój zatem, przeznaczony dla królika, dostał się małemu naganiaczowi w łydki. Chłopiec, nie czując wiele bólu, śmiał się z tej przygody, a wyśmiewając się i szydząc z niezręczności strzelca, czuł się dostatecznie

pomuszczonym i pocieszonym. Jednakże ojciec młodego myśliwca, nie uważając, aby Marcinek przez niewinną tę zemstę dostatecznie był wynagrodzony, chciał mu dać pewną kwotę pieniędzy. Rodzice Marcinka odmówili przyjęcia ich, Marcinek jednak przyjął z radością śliczny jak pieścidełko karabinek, którym dokazywał odtąd cudów zręczności.

Tym to karabinkiem, z którym wiązało się wspomnienie z lat młodych, Hilarek miał strzelić po raz pierwszy.

Znał on go już dobrze. Nieraz pomagał ojcu przy czyszczeniu broni, a wówczas brał karabinek i przykładając do ramienia, mierzył i celował. Dziś przecież po raz pierwszy miał być nabity. Ojciec, trzymając broń do wystrzału gotową, wyszedł w towarzystwie syna na dziedziniec. Flik i Flok postępowali za nimi, każdy w swój sposób okazując radość na widok fuzyi. Flik czekał i skakał w górę, Flok wył z cicha i czołgał się u nóg ojca i syna.

Dzielne te zwierzęta doskonałemi były sprzymierzeńcami i wiedziały dobrze, że bez nich nie udawano się na polowanie. Dziś ze zdumieniem patrzyły, że i panicz do strzela-

nia się zabiera i naprzód już gotowały się do zbierania zwierzyny.

Ojciec Marcin oddawna już był wybrał zwierzynę, mającą służyć za pierwszy cel synowi.

Matka Hilarka skarżyła się już od niejakiego czasu na częste kradzieże popełniane w kuchni, nieraz zauważyła, że w chwili podawania śniadania mężowi, lub synowi, znikał w tajemniczy sposób kawał słoniny położony na stole. — Codzień spostrzegała znaczny ubytek mleka, lub śmietany, przeznaczonej do robienia masła. Szkody te mogły jedynie być przypisane kunie, którą w ostatnim czasie kilka razy w pobliżu domu widziano krążącą i podstępnie przyglądającą się otoczeniu. Dnia poprzedniego przecież nabrano co do szkodnika zupełnej pod tym względem pewności. Żona leśniczego zajęta była w izbie, gdy nagle usłyszała krzyki rozpacz, wydawane przez czubatą, białą kurę, matkę licznej rodziny. Przybiegła — dość wcześnie jeszcze, by zobaczyć kunę uciekającą — zapóźno jednak, aby jej wydrzeć biedne kurczątka które unosiła jako zdobycz w pyszczku.

Skoro mąż wrócił do domu, żona opowiedziała mu co się zdarzyło i bardzo była zgor-

szona, widząc, że uśmiechnął się i pokręcił węża zamiast pójść z strzelbą i przykładnie ukarać winowajcę. Uśmiech ten tłumaczył się tem, że ojciec dla Hilarka pozostawiał zaszczyt wymierzenia na kunie sprawiedliwości. Strzelić po raz pierwszy, okazać swą zręczność, oswobodzić dom od szkodnika, pomścić niewinną ofiarę — czyż to nie był cel wzniosły?

Właśnie kuna zjawiła się znowu, wietrząc, czy nie ma czegoś do porwania. — Od rana samego czaiła się około domu, to wdrapując się na gałęzie, lub na mur, to kryjąc się w zagajeniach. Nie tajne jej były przygotowania, czynione przez leśniczego, — widziała nawet karabin, — nie słysząc przecież nigdy strzału, nie przypuszczała nawet, aby jej groziła ta długa rura żelazna. Flik i Flok niepokoiłi ją więcej, — na wierzchołku jednak jesionu, na który się wdrapała, czuła się zupełnie bezpieczną. Psy nie umieją przecież wdrapać się na drzewo, — kuna więc siedząc na gałęzi może z nich drwić bezkarnie.

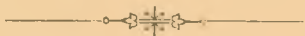
Leśniczy podał tymczasem karabin Hilar-kowi. Małe jego rączki drżały nieco, serce biło niespokojnie, ale wielką siłą woli pohamował wzruszenie, a odzyskawszy spokój,

oparł karabinek na ramieniu i przyłożywszy twarz do kolby, zaczął mierzyć.

— Mierz dobrze! odezwał się ojciec — pamiętaj, że nie strzelasz z łuku i że kula...

Ojciec nie dokończył jeszcze zdania, gdy strzał się rozległ, a równocześnie odpowiedziało mu przeraźliwe skowytanie kuny z radośnem naszczekiwanem psów. Niegodziwy swawolnik, który sądził się zupełnie bezpiecznym na gałęzi, spadł z drzewa, wijąc się w ostatnich konwulsjach.

Uszczęśliwiony Hilarek pobiegł w podskokach do matki oznajmić jej swe zwycięstwo.



4. Anielcia.

Mała Anielcia zajadała z apetytem bułeczkę na śniadanie.

— Chcesz może jeszcze więcej? zapytała matka.

— Dziękuję, odparła dziewczynka, nie jestem głodna.

Od pewnego przecież czasu Anielcia nie zadawała się bułeczką z masłem, lecz prosiła o drugą suchą i zabrawszy obiedwie, wychodziła copędzej do ogrodu. Matka nie zwracała z początku uwagi na zwiększony apetyt córeczki, aż razu pewnego niepostrzeżona wyszła za nią z domu.

Anielcia, nie domyślając się, że śledzi ją matka, biegła w wesołych podskokach do płotu, oddzielającego ogród od drogi, na wieś prowadzącej. Tam przytulona do płotu stała mała, bosa dziewczynka, spoglądając błagalnie w głąb ogrodu. Krótka spódniczka zaledwie do kolan sięgała, odsłaniając czerwone,

zziębłe stopy maleństwa, a zniszczona chustka chroniła ją niedostatecznie od chłodu poranków jesiennych.



Na widok Anielci rozjaśniła się twarzyczka dziewczynki, a wyciągnawszy przez płot czerwona i chuda rączkę, pochwyciła pożądliwie podaną sobie bułeczkę i wymówiwszy ci-

cho słowa podziękowania, oddaliła się szybko. Jakież było zdziwienie

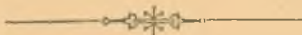
Anielci, gdy odwróciwszy się z suchą bułeczką w ustach, gdyż posmarowaną masłem ubogiej oddała dziewczynce, spostrzegła matkę, stojącą tuż za sobą.

— Nie gniewaj się, mamó, szepnęła zmieszana, ale ona taka biedna, sierota i o głodzie zawsze szła do szkoły...

— Gniewać się, dziecko, na ciebie za to, że miłosierny spełniłaś uczynek? zawołała matka, ściskając czule zapłonioną Anielcię. Dla czegoż przecież nie powiedziałaś mi dawno, kogo żywisz swem śniadaniem? Czyż sądziłaś, że oparłabym się temu?

— Nie, o nie, mamó, odpowiedziała dziewczynka, — ale czyż nie powtarzałaś mi zawsze, że lewica nie powinna wiedzieć, co daje prawica?

Matka ucałowała gorąco dobroczynną dziewczynę. Sierotka dostawała odtąd nie tylko śniadanie, ale i sukienki ciepłe, aby jej nie dokuczało zimno, a szczęśliwa matka codziennie dziękowała Bogu, że serce jej dziecka natchnął miłością bliźniego.



5. Czemu?

Staś był bardzo miłym dzieckiem; był grzeczny, uprzejmy, dobrze ułożony, lubił czystość i porządek — miał tylko jedną wadę. — Otoż nie słuchał rodziców i przełożonych od razu, lecz zawsze zapytywał „a czemu?“ Prawdziwy filozof, — mawiał do siebie — nie wierzy niczemu, ani nic nie przedsięwzię, nie zadawszy sobie wprzód pytania — czemu — i nie znalazłszy na nie odpowiedzi. Chcąc być prawdziwym filozofem, nie usłuchał Staś nigdy, nie dowiedziawszy się, czemu ma słuchać.

Pomimo usilnych starań rodziców i starszego rodzeństwa, nie udało się odzwyczaić Stasia od brzydkiego nałogu, wspólnego wielu dzieciom.

Dnia pewnego Staś bawił się z kilku kolegami na stosie belek i desek, skakając i próbując różnych sztuk gimnastycznych. Zatrudnieni przy budowlu robotnicy, ukończywszy śniadanie, zabrali się do pracy, a zanim poczęli z dachu nowe zrzucać belki, spojrzeli

otworem, czy nikt się na dole nie znajduje. Zobaczywszy bawiące się dzieci, zawołali: „Hej, chłopcy, odejdźcie stamtąd.“ Grono dzieci rozproszyło się natychmiast, Staś tylko pozostał i patrząc w górę, zawołał: „Czemu?“ Tymczasem robotnik, wyglądający okienkiem, oddalił się, sądząc, że wszystkie dzieci uciekły. W tej samej chwili Staś, czekający na odpowiedź, zachwiał się na nogach od nagłego wstrząśnienia, spowodowanego spadającą tuż obok belką. Runął na ziemię i złamał sobie nogę. Kilka tygodni przeleżał w łóżku, cierpiąc ból dotkliwy, a mógł jeszcze nazwać się szczęśliwym, że spadająca belka nie uderzyła go w głowę i nie pozbawiła życia.

Od wypadku tego nie pytał już nigdy „czemu?“ — słuchał natychmiast, a doszedłszy do wieku dojrzałego, słucha teraz sam siebie i uczy się trudnego zadania „rozkazywania innym.“ Ten tylko potrafi rozkazywać, kto słuchać umie, jak mówi o tem jeden z poetów naszych Wincenty Pol.

„Ucz się słuchać, abyś umiał
Rozkazywać, gdy tak padnie;
Ucz się pracy, byś zrozumiał,
Co tam leży w życiu na dnie.“



6. Dar z nieba.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Młody Józinek, chociaż zaledwie pięć latek liczył, mógł służyć za wzór nie tylko swym rówieśnikom, ale i starszym chłopczykom, tak był grzeczny i posłuszny. Najmłodszy z rodzeństwa, pieśczętką był wszystkich — ulubieńcem sług i gości. Inne mniej dobre dziecko byłoby popsuły odbierane pieśczęty, ale w Józinku wzbudzały one przeciwnie tem większą chęć do grzeczności i uprzejmości; pieśczęt i pochwał nie chciał odbierać niezasłużenie.

Matka Józinka, owdowiawszy od lat kilku, pracowała wedle sił na utrzymanie dzieci. Kochając wszystkie równo, najczulszem przecież staraniem otaczała najmłodszego Józinka, który od urodzenia będąc słabowitym i wątłym, śmiertelne nieraz wzbudzał obawy w sercu macierzyńskim. Gdy starsza siostrzyczka i braciszek poszli do szkoły, Józinek nie opusz-

czał swej mamusi. Drobnemi krokami biegając za nią po domu, pomagał w uprzątnięciu pokoiów, w ścieraniu pyłu. Był obecny przy wydawaniu jedynej, wiernej służce na obiad, a gdy matka, skończywszy te zajęcia, z szyciem lub robótką siadała przy oknie, przynosił sobie stołeczek, przysuwał krzeselko i siadając u nóg matki, cichutko i grzecznie ustawiał żołnierzy, lub z klocków drewnianych wspaniałe budował gmachy.

— Patrz, mamusiu, — wołał uradowany — jaki pałac ogromny. Jak Józinek urośnie, wybuduje ci dom taki z cegły i drzewa, naokoło założy piękny ogród, duży z zielonemi trawnikami, pełen kwiatów i ty, mamusiu, z Józinkiem mieszkać tam będziesz. Andzia może mieszkać z nami, Staś będzie doktorem, to pójdzie w świat daleko, daleko, ale Józio nigdy mamusi swej nie opuści, zawsze z nią będzie razem.

Matka przytulała jasną główkę dziecka do siebie i całowała jego modre oczęta, a otoczona czułą miłością dzieci, zapominała o opuszczeniu swem i samotności. Najstarsza jej córka kończyła już rok piętnasty, a ucząc się pilnie, obiecywała stać się niezadługo po-

mocą matce. Młodszy chłopczyk również dobrze w naukach postępował.

Matka dumną z nich była i kochała ich bardzo, lecz nieodstępny jej towarzysz, najmłodszy Józinek, tak tkliwie i czule miłość jej swą okazywał, że mimowoli najwięcej dawała mu pieśczot. Wzruszający był widok miłości, jaka łączyła wążką tę dziecinę z matką, i zdawało się, że jedno bez drugiego żyćby nie mogło.

Za zbliżeniem się uroczystego dnia w rodzinie, imienin matki, Józinek naprzód już łamał sobie małą główkę, jakaby niespodziankę sprawić drogiej mamusi. Siostrzyczka jego Andzia wyszywała podnózek, zakupiwszy za pieniądze, podarowane przez stryja, wełnę i kanwę. Staś wyrzynał piłeczkami śliczne pudełeczko do nici. Józinek tylko nie miał ani grosza, aby kupić jaki podarunek, a dobra mamusia obdarzała go zawsze tak hojnie. Mozolił więc długo biedny chłopczyzna maleńką swą główkę.

Zgadnijcie, dzieci, co też Józinek wymyślił? Otoż, gdy nadszedł dzień uroczysty, a dzieci z brzaskiem dnia wstały, aby mamusi złożyć życzenia i podarunki, gdy Andzia i Staś ofiarowali swe dary, na końcu zbliżył się Józinek. Oczka jego, pełne łez z wzruszenia, miłośnie

spoglądały w oczy rodzicielki. Jedną rączką objął szyję pochylonej doń matki, a drugą podając jej paczkę, w biały owiniętą papier, i przytulając zarumienioną twarzyczkę do policzka mamy, szepnął cichutko: „Przyjmij to, mamusia od Józinka.“ Papier, okrywający tajemniczą paczkę, rozwinął się, a na ziemię posypały się z łoskotem kawałki cukru.

— Cóż to ma znaczyć, Józinku? zapytała mama.

— To, to... mamusiu, to ja piłem kawkę gorzką... a cukierek do niej przeznaczony, chowałem na twoje imieniny..., jękał Józio zarumieniony i płaczu bliski. Mama wzruszona pochwyciła go w objęcia, a całując i pieszcząc dziękowała za podarek. Wierście mi, dzieci, że dobrej matce milsze były tych kilka cukru kawałków nad najkosztowniejsze podarki. Nad wszystkie dary przeniosła dobre chęci dziecka, które dla zrobienia jej przyjemności, umiało odmówić sobie ulubionego przysmaczku. Aniołkowie w niebie wpisali to w złotą księgę, aby kiedyś wynagrodzić sownie dobre dziecko.

Pewnego ranka obudził się Józinek wesół i swobodny i czekał cichutko, aby mama, jak zawsze, przyszła go na „dzień dobry“ poca-

łować. Czekał napróżno, aż wreszcie Agata, dawna ich sługa, przyszła powiedzieć mu, aby się ubrał i zachowywał spokojnie, bo mama zachorowała w nocy. Józinek wyskoczył z łóżeczka, ubrał się co prędzej i nie czekając za mleczkiem na śniadanie, pobiegł do pokoju matki. Tam ujrzał spuszczone zasłonki, a na białych poduszkach łóżka zmienioną gorączką twarz mamy. Zobaczywszy swego ulubieńca, wyciągnęła matka do niego ręce, lecz uderzona nagłą myślą, zawołała głośno: „Wziąć stąd dziecko, aby się nie zaraziło.“

— Mamusiu, zawołał Józinek z płaczem — pozwól mi zostać, nie oddalaj mnie od siebie.

...Matka wpadła znów w nieprzytomność, majacząc w gorączce, a chłopczyk siedząc w nogach łóżka, wpatrzony w drogie to oblicze, ruszyć się stamtąd nie pozwalał.

Lekarze, odwiedzający chorą, z litością patrzeli na biedne dziecko, które dużemi oczętami śledziło każde ich poruszenie. Choć wiedzieli, że powietrze pokoju chorej niezbyt dobrze działa na organizm dziecka, nie mieli odwagi usunąć go od boku uwielbianej matki.

Niestety, dni życia matki ukochanej były już policzone; trawiona gorączką, gasła po-

woli, aż nadeszła straszna chwila rozstania.... Dzieci sieroty rzuciły się z płaczem na martwe ciało matki, a biedny Józinek nie rozumiejąc całej grozy śmierci i pojąć jej nie mogąc, stał w kącie i dziwił się, czemu mamusia tak blada i cicha, gdy przed chwilą jęczała jeszcze z bólu. „Może jej lepiej“, myślało dziecię — Bozia dopomógł, mamusia śpi i obudzi się zdrową — powiedział sobie i od tygodnia po raz pierwszy dobrowolnie wyszedł z ponurego pokoju, nie chcąc mamie snu przerywać.

Po czasie niejakim dziecię weszło znów do pokoju mamy, a zbliżając się na paluszkach do łóżka, dotknęło jej ręki. Nadchodząca tuż za nim siostra zastała Józinka płaczącego rzewnie i czułemi słowami budzącego zmarłą.

— Chodź, Józinku, — powiedziała, łzy powstrzymując, — mamy nie obudzisz, — mama umarła.

— O, to być nie może, zawołał Józio. Mamusiu, czy ty nie kochasz swego Józinka, że chcesz odejść bez niego? Ja cię nie puszczę, mamu; weź mnie z sobą.

Po bolesnym dniu nadszedł ciemny, ponury wieczór. Sieroty zgromadziły się w mieszkalnem pokoju, a najstarsza Andzia, zastępująca

im odtąd matkę, chciała braciszka małego do snu ułożyć.

— Chodź, zmówię z tobą paciorek, powiedziała, biorąc go za rączkę.

— Józio bez mamy spać nie pójdzie, — Józio z mamusią tylko chce mówić paciorek. Józinek napewno mamusię obudzi i wyrrywając się z rąk siostry, pobiegł do żałobnego pokoju.

Przy zwłokach zmarłej czuwała wierna Agata. Chłopczyk zbliżył się do łóżka i podnosząc w górę mały pistolet, podarek gwiazdkowy od brata, wystrzelił w górę, wołając: „Nieprawdaż, Agato, że teraz chyba obudzi się mamusia?“...

Nie obudził jej ani strzał Józinka, ani łzy i łkania pozostałych sierot, nie obudził jej ponury śpiew księży i bicie dzwonów. Cicha i blada spała w swej trumience, nie słysząc łoskotu spadającej na wieko ziemi. Sieroty wróciwszy z smutnej na cmentarz pielgrzymki, zastały w domu pustki.

Dzieci zapominają zwykle szybko, po stracie najwięcej ukochanych osób przywykają łatwo do nowego stanu rzeczy, nie czując braku, a w małych główkach drogi obraz mgłą zachodzi zapomnienia. Józinek przecież

zapomnieć nie mógł, — płakał często, przestał się bawić, a układając się do snu w łóżeczku, powtarzał do czuwającej przy nim Agaty: „Niczego nie pragnę więcej, jak, żebym na chwilę chociaż mógł zobaczyć mamusię, — choćby we śnie tylko, na małą minutkę, ale nigdy nie przyjdzie do mnie... Modłę się tak bardzo, tak gorąco proszę Bozi, aby pozwolił przyjść mamusi... Wszak mówisz, Agato, że Bozia słucha grzecznych dzieci, a ja staram się być tak bardzo, bardzo grzecznym.“

— Śpij, Józinku, mówiła Agata z wzruszeniem, i nie myśl o tem. Mamusi lepiej tam w niebie i cieszy się, gdy widzi, że Józinek greczny.

— Wiem już, czemu mama nie przychodzi do mnie, odezwało się znów dziecko po chwili, może tam z nieba czasem tylko wolno przyjść na ziemię i mamusia czeka, aż będą moje imieniny. — O, w dniu tym przyjdzie na pewno uściskać swego Józinka.

I odtąd chłopczyk z gorączkową niecierpliwością oczekiwał nadejścia dnia swego patrona. Napróżno siostra, brat starszy i Agata tłumaczyli mu, że zmarli nie przychodzą na ziemię; — dziecko obstawało przy swoim uporczywie.

Razem z jutrzrenką obudził się Józinek w dniu 19-go Marca, — dniu św. Józefa. Agata krzątała się już po pokoju, porządkując i do śniadania sposobiąc, a Andzia i Staś przy świetle lampy powtarzali lekcye i sposobili się do szkoły.

— Agato, zawołał Józio, chodź-no do mnie.

Wszyscy zbliżyli się do łóżeczka, ściskając malca, całując go i obdarzając podarkami w dniu tak ważnym. Chłopczyk dziękował, uśmiechał się, oddawał uściski, pocałunki, ale myśl jego widocznie błądziła gdzieindziej.

— Proszę cię, Agato, zawołał wreszcie, otwórz tę wielką szafę od rzeczy w pokoju mamy i poszukaj tam dla mnie podarku od mamusi.

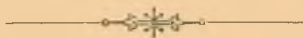
— Co ci się zdaje, Józinku, odpowiedziała Agata; mama w niebie.

— Józio wie o tem, ale mama była tu dziś w nocy, powinszowała Józiovi i przyniosła mu podarek. Jest tam w szafie... proszę cię, szukaj — na dole po prawej stronie.

Ulegając prośbom chłopca, Agata niechętnie i z przekonaniem o bezowocnem poszukiwaniu otworzyła szafę i włożyła rękę we wskazane przez Józia miejsce. Wśród fałd zwieszających się sukien namacała coś twar-

dego i ku zdumieniu wszystkich wyjęła dość duże, płaskie pudełko, w papier żółty owinięte. Jakież było wzruszenie sierot, gdy na pudełku ręką matki napisane znaleźli zdanie: „Na imieniny dla Józinka.“ Zmarła przygotowała za życia jeszcze upragnione farby dla swego pieścioszka ukochanego, a teraz aniołek szepnął do uszka małemu solenizantowi, gdzie ma szukać dowodu tkliwej pamięci od matki utraconej na zawsze.

Dziwnie coś wzruszającego było w tym darze pozagrobowym, darze z nieba, i Józinek nie tknął go nigdy, chowając jak relikwią drogą po ukochanej matce.



7. Bez mamy.

Dziecinki moje, czy też wy wiecie,
Czem jest mateczka dla was na świecie?
Czyście też kiedy myślały o tem,
Jakim to dla niej nieraz kłopotem
Jest upór dziecka, które umyślnie
Z ócz biednej matki łyzy rzewne ciśnie?

I czy wiesz, dziatwo, jakieś bogatą,
Że są przy tobie mama i tato,
Którzy nad tobą i dniem i nocą,
Ciągłe czuwają, wciąż się kłopotą,
I wspólnie z całą pracują siłą,
Aby dziateczkom ich dobrze było?

O! dziatwo moja, figlarna, żywa,
Ani przeczuwasz jakieś szczęśliwa!
Ani ci przez myśl nie przejdzie może,
Wciąż błogosławić wyroki Boże,
Że wam w dniach wiosny dały, o! dziatki,
Poić się słodkiem imieniem matki!

Bo matka w życiu, dziatwo kochana,
To ręka Boga z niebios zesłana...
To ciche skrzydło Stróża-Anioła,
Które ci smutki rozwiewa z czoła;
To jasna gwiazdka, co od powicia
Świeci przez wszystkie dni twego życia.

Jeśli Bóg dzieciom matki poskąpi,
O! to tej straty nikt nie zastąpi...
To nie odkupić jej łez potokiem,
To wciąż się za nią obracać wzrokiem,
To wciąż, na smutnem życia ściernisku,
Tęsknić i tęsknić do jej uścisku!

O! na kolana padnijcie dzieci!
I temu oku, co dla was świeci,
I temu sercu, co jakby złote,
Ma samą tylko dla was pieśczętę,
I tej opatrnej, matczynej ręce:
Wdzięczność i miłość nieście w podzięce.

Bo wy nie wiecie, dziateczki drogie,
Że są i inne dzieci ubogie,
Co nie słyszały jeszcze ni razu
Słodkiego matki swojej wyrazu,
Ni jej tkliwego słowa pieśczęty,
A noszą smutne imię — sieroty!
O! ty, po stokroć dziatwo szczęśliwa,
Którą do serca matka przyzywa

I tak cię garnie w objęcia słodko:
Jeśli się spotkasz z jaką sierotką,
Co się samotnie błąka wśród świata,
Zastąp jej siostrę, zastąp jej brata. —

A Ten, przed którym nic nie uchodzi,
Bóg ci twe tkliwe serce nagrodzi;
I ta mateczka biednej dziecinki,
Za wszystkie twoje dobre uczynki,
Długich dni pasmo wymodli w Niebie,
Dla twojej mamy, ojca i ciebie!

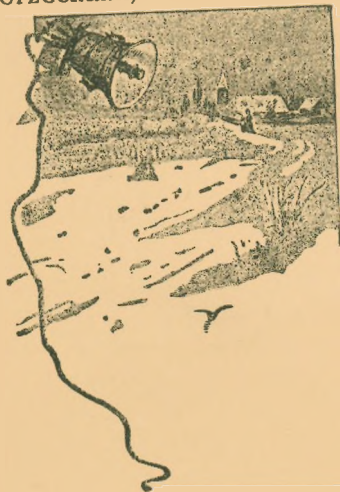
W. Betza.



8. Choinka.

(Legenda.)

Któżby z nas nie znał pięknej, zielonej choinki, obwieszanej jabłuszkami złoconymi, orzechami, cukierkami, przystrojonej płoną-



cemi jasno świeczkami, z aniołkiem u góry, który kołysząc się nad morzem światła, spogląda na rozradowane twarzyczki dzieci?

Z niecierpliwością oczekiwał mały Józinek wigilii Bożego Narodzenia i przybycia gwiazdki. Co chwila podchodził do okna i przykładając nosek do zamarzniętej szyby, upatrywał, czy gwiazdka nie spuszcza się z nieba

po złocistej wstędze i czy aniołki nie niosą przed nią płonącej choinki, obwieszanej zabawkami i przysmakami.

— Nianiu, powtarzał co chwilę, kiedyż nareszcie nadejdzie gwiazdka? a nie czekając odpowiedzi, zapytywał znów: A czemu to jodełkę przynosi gwiazdka, dla czego aniołkowie nie niosą lipy, brzoźki lub topoli?

— Dla czego?

— powtórzyła niania — usiądź grzecznie i słuchaj cierpliwie, a opowiem ci, czemu gwiazdka choinkę przynosi dzieciom.

Józio usiadł zaciekawiony, a niania zaczęła opowiadanie.

— Dawno, bardzo dawno, Pan Bóg aniołów swych posłał na ziemię i rozkazał im wyszukać drzewa, które przystrojone w świeczki



i jabłuszka, przypominałoby dzieciom święty dzień Jego urodzin i sprawiało radość wszystkim ludziom.

Aniołowie z nieba spłynęli na ziemię na skrzydłach śnieżystych i zabrali się do poszukiwań.

Najprzód napotkali brzozę, świecącą białą swą sukienką wśród drzew innych. Namyślali się, czy jej nie wybrać, ale najmłodszy z nich, malutki, różowy aniołek, zawołał: Różgą z brzozy biją niegrzecznych malców, nie możemy jej więc wybierać, aby była symbolem radości i uciechy dzieci.

Aniołowie poszli dalej i zatrzymali się przy wierzbie płaczącej. Już, już mieli ją wybrać, gdy przypomnieli sobie, że na jej to gałęziach powiesił się Judasz. I wierzba więc nie była godną zaszczytu, aby w dzień Narodzenia Bożego sprawiać radość dzieciom i starszym.

W dalszej wędrówce napotkali osikę. I tej przecież wybrać nie mogli, przypomniawszy sobie jej brzydkie tchórzostwo. Gdy Paniątka Najświętsza z maleńkim Jezuskiem przed srogością Heroda uchodziła do Egiptu, chciała się schronić przed pogonią pod cień gałęzi jej rozłożystych. Osika przecież drząc z trwogi,

odmówiła schronienia Przenajświętszej Rodzinie i odtąd za karę liście jej poruszają się bez ustanku.

Aniołowie ominęli buk, jako symbol obojętności, lipę jako drzewo, spotykane po cmentarzach, a więc śmierć przypominające, ominęli dąb wyniosły, wyobrażający siłę i potęgę, i zmartwieni bezcelową wędrówką, już chcieli wracać do nieba, gdy wtem wzrok ich zatrzymał się na wysmukłej jodełce, która skromnie stała na uboczu.

Anioł prowadzący towarzyszków, zatrzymał się przy drzewie, a twarz jego wyrażała zachwyt i uwielbienie.

— Patrzcie, zawołał, czy znajdziemy gdź drzewko odpowiedniejsze? Czy które inne z drzew odznacza się wieczną zielonością, czy posiada woń równie balsamiczną? Patrzcie, jak gałązki drzewka tego układają się na krzyż, tworząc godło zbawienia, patrzcie, jak po pniu spływają krople żywicy, niby łzy radości nad przybyciem na świat Odkupiciela. Czyż jeszcze szukać będziemy?

— Nie, zawołali aniołowie chórem, jodełka niech odtąd będzie posłanką radości i uciechy dzieci, niech błyszczy w każdym

domu chrześcijańskim w rocznicę urodzin Jezusa.

I wrócili aniołowie do nieba, niosąc gałązkę jodełki zielonej, a Pan Bóg zatwierdził ich wybór i odtąd jodła uczestniczy w radosnym obchodzie najświętszej rocznicy Bożego Narodzenia.

Niania skończyła opowiadanie, a Józio nie spostrzegł nawet, jak drzwi do pokoju sąsiedniego otworzyły się nagle i w potokach światła stanęła wiecznie zielona, wonna i przybrana różnorodnemi przysmakami choinka. Aniołek, zawieszony u szczytu, spoglądał radośnie na Józia, dumny z wyboru drzewka, które tyle radości corocznie sprawia dobrym i grzecznym dzieciom.



9. Jaskółka.

Legenda.

Przed wielu, wielu laty w dawnej, rozległej i potężnej Polsce, na skraju ogromnego lasu mieszkał w przestronnej chacie stary Maciej z żoną i dziećmi.

Na kilka mil wokoło słynął Maciej jako łucznik doskonały, strzały jego nie chybiały nigdy celu, czy to wysyłane ku tatarskim horodom, czy też w stada zwierząt zapelniających nieprzebyte lasy. Celności tej zawdzięczał Maciej utrzymanie rodziny, żywiąc ją mięsem zabitego zwierza, a skóry wymieniając u przechodnich kramarzy na odzież i sprzęty w domu potrzebne. — Dwoje dzieci dał im Pan Bóg: syna, dzielnego i odważnego Spytko i piękną, hożą dziewczynę Halszkę.

Spytko towarzyszył ojcu w wyprawach łowieckich, karczował las, doglądał uli, uprawiał rolę.

Halszka przędła na kołowrotku i poma

gała matce w zajęciach domowych. Czarne jej oczy śmiały się wesoło, dźwięczna piosnka z ust jej nie schodziła, a jasna kosa, krasną ozdobiona wstążeczką, sięgała do kolan.

Piękna jak malowanie, była Halszka źrenicą w oczach rodziców, dumą i szczęściem brata. Lekka jak ptaszyna przebiegała chatę, nie leniąc się pracy, zawsze swobodna, wesoła...

Szczęście niedługo przecież gościło w niskiej chacie Macieja. Pewnego poranku spostrzeżono na niebie krwawą łunę, a zanim domyślił się Maciej, jak okropne zwiastowało nieszczęście światło złowrogie, coraz szerzej rozlewające się na widnokręgu, już hordy dzikich Tatarów dopadły wioski pobliskiej, paląc, niszcząc i zabierając ludność w jasyr. Zapóźno było chronić się do lasu i Maciej wraz z rodziną dostał się w ręce okrutnych najeźdźców. Przytroczonych do ogonów konskich zawleczono do miejsca, gdzie rozłożył się główny tabor, i tam nieszczęśni jeńcy zobaczyli tłumy całe kobiet, dzieci i mężczyzn, zabranych w niewolę.

Tatarzy, lud nawpół dziki o odrażających twarzach, maleńkich oczkach, nie zważając na krzyk i płacz jeńców, rozłączali ich na mniej-

sze oddziały, odrywając dzieci od matek, siostry od braci, żony od mężów...

Biedną, nawpół żywą z trwogi Halszkę porwał okrutny Tatarzyn, a broniącego ją Spytkę tak silnie uderzył maczugą w głowę, że martwy zwał się na ziemię. Barbarzyńcy poczęli uchodzić z zdobyczą, wiodąc lud polski w kraj swój dziki i ponury, gdy wtem dalekie odgłosy trąb wznieciły nadzieję w sercach jeńców.

To polskie rycerstwo pod wodzą króla dzielnego spieszy na odsiecz nieszczęśliwym. Tatarzy uciekają na swych małych, zwinnych konikach, ile im sił starczy, wypuszczając grad strzał na doganiających ich rycerzy, zostawiając łup po drodze i puszczając jeńców. Kilku zaledwie zawziętszych i zwinniejszych uchodzi cało, nie puszczając zdobyczy, a pomiędzy tymi znajduje się właśnie Tatarzyn uwożący Halszkę...

Smutny był powrót Macieja i żony jego do rodzinnej zagrody. Chatę zastali spaloną, na zgliszczach psa, stróża wiernego, wyjącego żałośnie, zagony zniszczone, bydełko zabrane... Straty te przecież niczem były w porównaniu ze stratą najdotkliwszą, — ubytkiem dzieci. Wspomnienie zabitego Spytkę i zabranej

w jasyr Halszki bezustannie towarzyszy starcom, wyciskając łzy boleści z ich ocz przygasłych.

Spytka los lepszy jeszcze od doli Halszki — zabity w obronie siostry duchem przebywa już teraz w niebie i wraz z innemi błogosławionemi duchami chwale Panu śpiewa, ale ona, dziewoja nieszczęsna, gdzież się obraca, jak ciężkie przechodzi koleje, jak gorzkie dni jej w niewoli, iluż łzami oblewa każdą łyżkę strawy, przez pogan jej rzuconą...

— Gdzieżeś, ach, gdzieżeś, ptaszyno moja, powtarza matka z płaczem.

— Gdzież się podziewasz, zuzulo, wtóruje jej ojciec, a tam zdala od kraju rodzinnego, zdala od uścisku matczynego i ojca pocałunku więdniesz, niby kwiat bez rosy, polska dziewoja, łamiesz ręce i zawodzi, a płacze tak żałościwie, prosi tak rzewnie, aż zlitowała się nad nią Matka Boska, Pocieszycielka utrapionych i dziewczynę-niewolnicę przemieniła w jaskółkę.

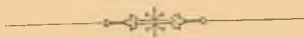
Dawszy jej skrzydełka jak aksamit czarne i jak aksamit lśniące, udzieliwszy jej lotowi hyżości niezwykłej, dozwoliła do rodzinnej wrócić zagrody.

I wróciła Halszka, jako jaskółka zwinna

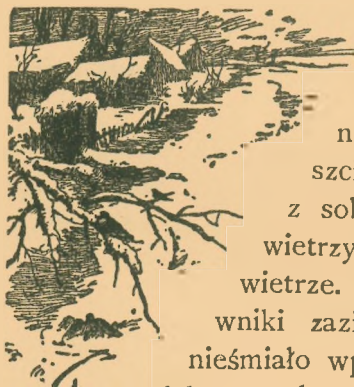
i hyża i ulepiła sobie gniazdko pod strzechą nowo odbudowanej chaty rodzicielskiej, a wraz z nią w progi ubogiego domku wrócił spokój i błogosławieństwo Boże.

Staruszkowie przywiązali się do ptaszyny, żegnali ją łzami, gdy na zimę w cieplejsze odlatywała kraje, witali radośnie, gdy z wiosną dawne obejmowała gniazdko, a słuchając jej świegotu, marzyli o minionych dniach szczęścia i, niby własne, stracone dzieci, kochali małe ptaszęta.

Odtąd z wiosną każdą coraz więcej jaskółek zlatywało do Polski, gdzie dobrze im było i nikt nie wyrządzał krzywdy. Ludzie przywiązali się do zwinnych, łagodnych ptasząt, a wierząc, że błogosławieństwo Boże towarzyszy chatce, pod której strzechą jaskółki ulepią sobie gniazdko, zapraszają je chętnie w gościnę i troskliwą otaczają opieką.



10. Śnieg.



Po wielu zwodniczych obwieszczeniach nadeszła nareszcie wiosna, przynosząc z sobą łagodny powiew wietrzyka, ogrzewający powietrze. Śnieg stopniał, trawniki zazieleniły się, kwiatki nieśmiało wprowadzie, ale wychylały pomału główki z rozmięklej powłoki ziemi, a śpiew ptasząt rozlegał się wszędzie.

Mała Ludwinia, korzystając z pięknych dni, pojechała z ojcem na wieś. Tam nacieszyć się dosyć nie mogła śpiewem skowronków, kosów i zięb, a biegając po zielonych trawnikach, znalazła nawet kilka fiołków, z których uwiła bukiet dla swej mamy. Radość jej przecież trwała nie długo. Łagodne po-

wietrze zmieniło się znowu i zawiał wiatr ostry północny, świszcząc przeraźliwie w konarach drzew, огоłoconych jeszcze z liści, i sprowadzając śnieżną zawieję.

Wieczorem Ludwinia drząc z zimna, położyła się w łóżeczko, dziękując Bogu, że dał jej ciche i bezpieczne schronienie przed wszelkimi zmianami powietrza.

Skoro wstała nazajutrz rano, na dworze zupełnie było białe. W nocy tyle spadło śniegu, że sięgał aż do kolan. Ludwinia zasmuciła się bardzo, a więcej posmutniały biedne ptaszyny, tak wesołe i żwawe jeszcze dnia poprzedniego. Pod grubą śniegu powłoką nie mogły biedne żadnego wyszukać ziarnka, żadnego robaczka na zaspokojenie dokuczającego im głodu. Z lasów i pól zleciały wszystkie do wsi i miasteczek, szukając pożywienia w pobliżu mieszkań ludzkich. Gromady całe wróbli, czeczotek, ziąb i jaskółek błękały się na dziedzińcu i wśród zabudowań gospodarczych, przewracając dzióbkiem i pazurkami w wyrzucanych śmieciach i resztkach z kuchni i o najmniejsze walcząc ziarnko.

W ogrodzie, okalającym dom ojca Ludwini, zebrało się tych gości mnóstwo. Ludwinia

patrzyła na nie z okna i wreszcie smutna udała się do pokoju ojca.

— Ach! tatko, zawołała, patrz, wszystkie ptaszki, które tak wesoło śpiewały wczoraj, są dziś smutne i osowiałe. Zdają się skostniałe z zimna i nie mają co jeść. Czy nie pozwolisz dać im nieco zboża?

— Bardzo chętnie, odpowiedział ojciec.

Ludwinia pobiegła co prędzej na śpichlerz, a nabrawszy w fartuszek prosa i siemienia, rozrzuciła ziarenka na podwórzu wśród ptasząt gromady. Ptaszki zleciały chmarą, podskakując wesoło i zbierając ziarenka z zapałem. Ludwinia patrzyła na to z radością i pobiegła po rodziców, aby wraz z nią się cieszyli. Ptaszki wybierawszy do najmniejszego ziarenka, wzleciały na drzewa i dachy, a patrząc smutnie na Ludwinę, zdawały się pytać: nie masz już nic więcej dla nas?

Ludwinia, dobre mając serduszek, zrozumiała ptasi język, pobiegła lotem błyskawicy i z nowym wróciła zapasem. Przebiegając drogę, prowadzącą na wieś, spotkała chłopczyka, który widocznie jak ona, dobrem i współczującym nie odznaczał się serduszkciem. Niósł on w rękę klatkę, pełną ptaków, wstrząsając nią tak nie-

delikatnie, że biedne ptaszyny uderzały główkami o druciki klatki.

— Co myślisz począć z temi ptaszkami? zapytała Ludwinia, którą zabolalo serduszko na widok męczarni biednych więźniów.

— Nie wiem jeszcze, odpowiedział chłopczyk. Chciałbym je sprzedać, a jeżeli ich nikt nie kupi, sprawię ucztę memu Filusiowi.

— Dasz je kotu, zawołała Ludwinia zgorzszona, twemu kotu? O! niedobry chłopcze!

— O! nie byłyby to pierwsze, które schrupał żywe, odpowiedział chłopiec i potrząsając klatką, oddalił się w kierunku wsi.

Ludwinia pobiegła za nim i zapytała, ileby żądał za te ptaszki.

— Oddam je wszystkie po pięć groszy za sztukę; jest ich ośmnaście.

— Dobrze, kupię je od ciebie, powiedziała Ludwinia, prowadząc chłopca z klatką do rodziców i prosząc ich o pozwolenie kupienia ptaszków.

Rodzice zgodzili się chętnie, a nawet odstąpili jej próżny pokój do umieszczenia gwarliwej rzeszy.

Kubuś, tak zwał się ów zły chłopiec, odszedł zadowolony z sprzedaży i pospieszył opowiedzieć swym towarzyszom, że zna pe-

wną małą panienkę, która kupuje ptaszki. W przeciągu kilku godzin tyle chłopców i dziewcząt ze wsi naschodziło się przed drzwi mieszkania Ludwini, iż mógłby kto myśleć, że targ się tam odbywa!

Wszyscy cisnęli się do Ludwini, przeskakując jeden przez drugiego, popychając i kulakując się nawzajem, a podnosząc w górę klatki, napełnione ptakami, zachwalali swój towar.

Ludwinia zakupiła wszystkie i zaniósła je do pokoju, w którym umieściła kupione rano. Za nadejściem wieczora Ludwinia z lekkim i rozradowanem sercem położyła się do łóżeczka. Dawno nie czuła się tak szczęśliwą, ale bo też był powód do tego. Czyż nie ocalała życia tylu niewinnym stworzeniom, czyż nie żywi ich, broniąc od śmierci głodowej?

Za nadejściem lata pójdzie do lasu i wypuści całą skrzydlatą rzeszę, a ptaszki z wdzięczności najpiękniejsze pienia dziękczynne zawodzić dla niej będą. Zasnawszy wreszcie śniła, że znajdowała się w pięknym, zielonym lesie, pełnym drzew niebotycznych, których gałęzie obsiadłe były ptaszkami świegocącymi wesoło i żywiącemi swe pisklęta. Ludwinia uśmiechała się przez sen, szczęśliwa i zado-

wolona, jak zwykle bywa po spełnieniu dobrego uczynku.

Nazajutrz wstała wczesnie, aby nakarmić swych ulubieńców, nie zapomniała również o ptaszkach na wolności. Nie była przecież już tak wesołą, jak dnia poprzedniego. Zliczywszy wydatki wczorajsze, pomyślała, że mały już tylko pozostał jej zasób gotówki, a więc coś się stanie z innemi schwytanemi ptaszkami, które niegodziwe chłopaki chcą dać swym kotom. Ona nie będzie ich już mogła wykupić.

Pogrążona w smutnych myślach, wyjęła z szufladki sakiewkę, aby policzyć swe skarby. Jakże przecież zdumiała, spostrzegłszy, że sakiewka cięższą była aniżeli poprzedniego wieczora. Otworzywszy co prędzej, spostrzegła pieniądze różnej wielkości i wartości. Uradowana pobiegła opowiedzieć ojcu o niespodzianem odkryciu. Ojciec wzruszony przycisnął ją do serca i rzekł: Nigdy jeszcze, droga moja córeczko, nie sprawiłaś mi tyle pociechy, co dnia wczorajszego. Postępuj tak dalej, wspomagaj i broń zawsze tych, którzy cierpią, a dobre twe serduszko będzie nagrodzone. Nie obawiaj się o brak środków na pełnienie miłosiernych uczynków. Sakiewkę twą znajdziesz zawsze napełnioną.

Jakaż to radość była dla Ludwini. Nakarmiła ptaszki w ogrodzie i na dziedzińcu, a potem pobiegła do swych pensyonarzy. Nigdy lalki, ani zabawki nie sprawiały jej tyle radości, co te świegocące i latające wkoło niej ptaszki.

Po obiedzie kładąc rączkę do worka z ziarnem, wyciągnęła kartkę z napisem: „Ptaki powietrzne dążą ku Tobie, Stwórco, a Ty dajesz im pożywienie, otaczasz swą opieką i dobrodziejstwami swemi obsypujesz wszystkie stworzenia.“

Ludwinia zamyśliła się, a obracając po chwili do ojca, rzekła: „Nieprawdaż, ojczusku, że ja naśladowuję Pana Boga? — Ptaszki zbiegają się do mnie, a ja daję im pożywienie i chronię od śmierci.“

— Tak, moja córko, za każdym razem, gdy komukolwiek dobrze czynisz, do Boga się zbliżasz. — Gdy będziesz starszą, będziesz mogła wspierać bliźnich, jak teraz wspierasz ptaszki, a nie ma większego szczęścia na świecie, jak naśladować przykład dany nam przez Pana Boga.

Ludwinia przez tydzień cały żywiła ptaszki, aż wreszcie zawitała wiosna a wraz z pierwszemi słońca promieniami mali śpie-

wacy ulecieli do lasu i na pola umajone zielenią. Nie wszystkie przecież ptaszki mogły korzystać z wiosny, z słońca, z zieleni pól i lasów.—Trzymane w pokoju przez Ludwinę napróżno uderzały skrzydełkami o zamknięte okna, napróżno dzióbkiem chciały przebić szyby; — więzienie mocniejsze było nad słabe ich siły. Ludwinia nie domyślała się ich smutku, aż razu pewnego ojciec wszedł za nią do pokoju ptaszków, a popatrzywszy na nie, odezwał się do córki:

— Powiedz mi, Ludwinio, dla czego te ptaszki tak się niepokoją? — zdawałoby się mogło, że szukają czegoś. Jak też myślisz, dziecko, czy nie zostawiły one tam w lasach i polach towarzyszków, za którymi tęsknią teraz?

— Masz słusność, ojczulku. Ptaszki posmutniały, skoro tylko ciepłe dni nadeszły.— Otworzę okna i wypuszczę je na wolność.

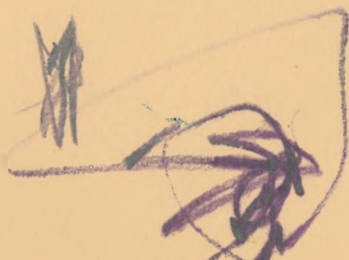
— Sądzę, że dobrze uczynisz. — Z twej przyczyny radość zapanuje między ptaszkami — będą się witać i cieszyć, tak jak ty mnie witałaś, gdy po kilku dniach nieobecności wróciłem do domu.

Ludwinia poskoczyła ku oknom i pootwierała je na oścież. — Ptaszki spostrzegły to natychmiast i po chwili ani jeden nie został

w pokoju. Korzystając z wolności, wzbijały się wysoko w obłoki, to znów spadały ku ziemi, a wszystkie przelatywały pod oknami dotychczasowego schronienia, śpiewając hymny radosne. Choć wszelkie miały wygody i bezpieczne schronienie, wolność jednakże była im milszą.

Ludwinia wychodziła codziennie na przechadzki, a słysząc naokół siebie wśród zielonych drzew gałęzi, wesoły śpiew ptasząt, upatrywała wśród skrzydlatej rzeszy wyróżniające się głosem i postacią i powtarzała z radością:

— Otoż jeden z moich wychowanców. Poznać zaraz po głosie, że dobrze był żywiony przez zimę.



11. Mały Sobek.

Szy wy wiecie, dzieci, co to s o b e k znaczy? Jest to chłopczyk lub dziewczynka, którzy nigdy o drugich, lecz zawsze o sobie tylko myślą — nie spieszą, aby innym przyjemność sprawić, aby łzę otrzeć z ócz bliźniego. — Byle im było dobrze, niech inni płaczą, niech łakną kawałka chleba, — niech marzną z zimna, byle oni mieli ciepło i zaciszenie. Szkaradna to wada i spodziewam się, że żadne z was jej nie podlega, ale nie zawadzi, że posłuchacie powiastki o chłopczyku, którego powszechnie zwano sobkiem.

Było mu właściwie Janek na imię, — ale brzydki przydomek tak przylgnął do niego, że tak w szkole, jak wśród zabawy rówieśnicy pomiędzy sobą tylko sobka nazywali go mianem.

— Patrzcie — mówił jeden do drugiego — s o b e k zajada jabłuszka i ciasteczka na śniadanie, a obok, siedzi biedny Julek, który

ledwo na suchą ma bułeczkę. Sobek ubrany w kosztowne futerko dumnie idzie ulicą, a obok dziewczynka w podartej sukience bosemi nóżkami po zimnych stąpa kamieniach.

Janek, choć mały jeszcze, mógł już zrozumieć, jak brzydką wadą jest sobkostwo, ale



nie troszczył się o to wcale, zawsze tylko o sobie i swoich myśląc przyjemnościach. Matka starała się szlachetniejsze uczucia wzbudzić w sercu synka, ale nie udawało się to dotąd.

— Mamo, opowiedz mi jaką powiastkę,

prosił Janek, znudzony nauką i zabawkami i nowej żądny rozrywki.

— Dobrze, powiedziała mama i rozpoczęła opowiadanie.

— Przed dawnymi czasy żył mały chłopczyk na świecie, który z wszystkich ludzi kochał najwięcej znanego sobie najlepiej chłopczyka, małego blondynka z niebieskimi oczkami...

— Zgaduję — zawołał Janek z uśmiechem, to ja...

— Naturalnie, powiedziała mama, prawda, że Janek siebie tylko kocha. Nie kocha ani małej siostrzyczki, której nigdy ustąpić nie chce, ani pożyczyć jej swych zabawek, nie kocha mamy, bo gdy mu mówi „idź spać, czar już po temu“, odpowiada „nie chcę, nie pójdę“. Woli zrobić przyjemność sobie samemu, aniżeli mamie lub siostrzyczce i nie troszczy się, że martwi mamę i łzy jej z oczu wyciska.

Janek zastanowił się nad słowami matki, a porównawszy je z żartami kolegów w szkółce, zamyślił się głęboko.

Nazajutrz przypadało święto. — Janek, ubrany w najpiękniejszy ubiorek, wyszedł z boną i siostrzyczką na przechadzkę. Z ra-

dością wychodził z domu, bo od wujaszka dostawszy złotówkę, chciał sobie kupić nową piłkę. Piękny świecący pieniądz ścisnął w ręczce i przypatrywał mu się od czasu do czasu, układając w główce, jaką to ładną kupi piłkę i jak doskonale bawić się będzie.

Wśród drogi spostrzegł nagle przytuloną do muru i drżącą z zimna małą dziewczynkę, płaczącą gorzko. Zatrzymali się przed nią, a bona zapytała, co jej się stało.

Dziewczynka z żalu ledwo mówić mogła; łkania przerywały jej słowa i wyjąkała zaledwie zrozumiałe te wyrazy:

— Zgubiłam pieniądze — wszystkie pieniądze, za które miałam kupić chleba. Trzymałam je w ręce; swawolne chłopaki popchnęły mnie, pieniądz upadł na ziemię i już go nie znalazłam.

Małeńka poczęła płakać na nowo, ocierając oczy podartym fartuszkciem.

Rad jestem, że to nie ja zgubiłem pieniądze, pomyślał Janek, ściskając z całej siły trzymaną złotówkę.

— Czemu nie wrócisz do domu i nie weźmiesz od matki innych pieniędzy? pytała bona tymczasem dziewczynki.

— Wrócić do domu? zawołało dziewczę.

Ależ nie mogę tego zrobić, bo wiem, że matka ostatni dała mi pieniądz i tak jej, jak mnie bardzo się chce jeść....

Janek coraz więcej ścisnął złotówkę, a mała jego główka pracowała usilnie. Właściwe mu sobkostwo zaciętą staczało walkę z lepszymi uczuciami, wzbudzonemi wczoraj przez rozmowę z matką. Dawne przecież nawyknienie nie od razu uległo dobrym popędom.

— Maryo, odezwał się wreszcie do bony, nie mogłabyś dać nieco pieniędzy tej małej, aby sobie kupiła chleba?

Mały sobek kosztem innych chciał wesprzeć nędzę i zaspokoić własne sumienie, nie pozbawiając się pożądanej zabawki.

— Nie mam portmonetki przy sobie, odpowiedziała bona, poczem wraz z dziećmi w dalszą udała się drogę.

Janek zwrócił się na ulicę, prowadzącą do składu zabawek, i już zdążył napawać się widokiem pięknych piłek, bujających w siatkach kolorowych przed drzwiami i podziwiał najróżnorodniejsze zabawki, znajdujące się w oknie wystawnem. Zdawało mu się, że za swą złotówkę cały skład zakupi i stał teraz, niepewny, co wybrać pomiędzy temi ślicznościami. Nagle myśl jakaś zaświtała mu w główce,

obrócił się, a widząc dziewczynkę stojącą ciągle przy murze, gdzie ją zostawili, odezwał się, ciągnąc Maryą za suknię: Wróćmy do domu.

— Jakto? zapytała zdziwiona, mamy wracać, ależ kup wprzód piłkę.

Janek wspiął się na paluszki i szepnął jej do ucha:

— Chciałbym dziś zamiast sobie samemu zrobić przyjemność, biednej płaczącej dziewczynce.

Marya zrozumiała i wróciła się chętnie. Janek po raz ostatni objął wzrokiem nagromadzone w sklepie zabawki, a potem pobiegł co prędzej do małej dziewczynki i podając jej złotówkę, zawołał: Zamiast zgubionej, weź tę oto i kup sobie chleba.

Dziewczynka poprzestała płakać i spróbowała uśmiechnąć się przez łzy. Chciała powiedzieć: „Bóg zapłać“, ale z ściśnionego jej od płaczu i łkania gardziółka głos nie mógł się wydobyć. Duże jej oczy patrzyły przecież z taką wdzięcznością, że Janek uczył się stokrotnie wynagrodzonym za dobry uczynek i nie pożałował zwycięstwa, odniesionego nad swem sobkostwem. Za powrotem do domu pobiegł co żywo do mamy, a wskakując jej na kolana i obejmując rękami

jej szyję, opowiedział uradowany całe zdarzenie.

Mama uściskała go serdecznie, pytając: Jesteś teraz zadowolony, Janku?

— O, tak! zawołał Janek, i odtąd nigdy już nie będę sobkiem.

Jakoż dotrzymał słowa i od kolegów jego dowiedziałem się później, że pozbywszy się zupełnie brzydkiej wady, stał się ulubieńcem nietylko współuczniów, ale profesorów i wszystkich, którzy go znali. Przy dobrej chęci zawsze można się poprawić!



12. W lesie.

Po dniu parnym i męczącym zapadła noc czarna. Zdała dolatywał odgłos grzmotu ponury, drzewa szumiały złowrogo, strwożone ptactwo szukało schronienia, a dzikie zwierzęta powracały do swych jaskiń porykując. Przyroda cała przeczuwała nadchodzącą burzę.

Olbrzymie stuletnie dęby i sosny niebotyczne pod wichru gwałtownego podmuchem schylały ku ziemi dumne korony, puszczyk nocny odzywał się lękliwie, a w lesie całym trwoga zapanowała i ciemność nieprzejrzana.

Przez zbite i poplątane gałęzie drzew i krzewów posuwało się zwolna w tę noc straszną dwoje podróżnych. Błyskawica, rozdzierająca raz poraz ciemności, oświecała jaskrawym blaskiem głowę starca siwowłosą i nagłą jasność rzucała na bladą, zmęczoną twarz niewiasty, tulącej dziecko do piersi.

— Dalej iść niepodobna, ozwał się starzec, — w ciemności łatwo zbłądzić.

— Straszno odpoczywać, odrzekła niewiasta, gdy pogoń tuż za nami.

— Sił przybraknie na dalszą drogę, gdy wytchnienia nie zaznamy, rzekł starzec, ocierając pot z czoła.

— Dzikie zwierzęta pożreć nas gotowe, gdy zostaniemy wśród lasu, odparła niewiasta,



a nigdzie tu żywej duszy, ani schronienia ludzkiego!

Zaledwie słów tych domówiła, huk straszny wstrząsnął powietrzem, a wśród oślepiającej jasności ujrzeli podróżni o kilka kroków przed sobą człowieka, stojącego pod drzewem. Wy-

soki i silny, niedźwiedzią okryty skórą, z ogromną maczugą w ręku, z brodą do pasa sięgającą i dzikim spojrzeniem z pod brwi krzaczastych, wyglądał niby olbrzym, zamieszkujący i panujący w nim niepodzielnie. Mimo to staruszek zbliżył się do niego i przemówił uprzejmie:

— Dobry człowiecze, czy nie chcielibyście wskazać schronienia zbłąkanym podróżnym?

— Chata moja niedaleko, odparł olbrzym ponuro, w niej przenocować możecie, i wskazał ręką kierunek, w którym udać się mieli.

Staruszek, podtrzymując upadającą z znużenia niewiastę, zwrócił się w wskazaną stronę i wkrótce stanął przed niską, słomianą strzechą. Na ujadanie zawzięte psa wyszła na próg chaty barczysta niewiasta z ponurem wejściem, a zagradzając sobą wejście, zawołała:

— Nie mam w chacie miejsca dla obcych. Idźcie dalej w swoją drogę, dobrzy ludzie.

Staruszek, wskazując na niebo, coraz więcej chmurami zakryte, prosił pokornie:

— Burza nadchodzi, w lesie straszno, a towarzyska upada mi ze znużenia. Na litość, nie odmawiajcie nam noclegu.

— Lepiejby wam w lesie było wśród zwie-

rząt drapieżnych, mruknęła kobieta pod nosem, aniżeli w naszej chacie, ale wejdźcie i przeczekajcie burzę, kiedy chcecie koniecznie.

Podróżni zasiedli na ławie, a niewiasta odwinąwszy dzieciątko, zaczęła je karmić. Gospodyni chaty zazdrosnem okiem spoglądała na różowe, uśmiechnięte niemowlę, ssące pierś matczyną, i ze smutkiem zwracała oczy ku dzieciątku własnemu, kwilącemu w kołysce. Chata, do której schronili się podróżni, należała do sławnego na mil kilkanaście zbójcy, który czatując w lesie na przechodniów, zwabiał ich do swego mieszkania i tam pozbawiał życia. Żona jego, litościwa z natury, niechętnie obcych w dom przyjmowała, a i teraz radaby chciała uchronić nieproszonych gości od pewnej zguby. Obawiając się przecież zemsty męża, milczała, łudząc się nadzieją, że mąż nie zaraz do domu powróci, czatując w lesie na łup obfitszy.

Podróżna niewiasta tymczasem, nakarmiwszy dzieciątko, zapragnęła je wykąpać i poprosiła gospodyni o wanienkę i wodę ciepłą. Kobieta podała wanienkę z wodą, a widząc tłusciutką, różową dziecinę, śmiejącą się srebrzyście i z rozkoszą pluskającą w wodzie, westchnęła i znów spojrzała ku kołysce.

— Zdaje się, że i wy macie dzieciátko, zapytała przybyła gospodynią chaty.

— Tak, mam synaczka, w tym samym, bodaj co wasz, wieku, odparła żona zbójcy.

— Włóżcie go do wanienki razem z moim; chłopaczki wykąpią się wspólnie.

— Nie mogę, odparła gospodyni z ciężkiem westchnieniem. Dziecina moja, niestety, trądem okryta na całym ciele, dodała, a łzy niby grad z ocz jej popłynęły.

— Nic nie szkodzi, odparła podróżna, a zbliżywszy się do plecionej z trzciny kołyski, wyjęła chore, trędowate dziecko i położyła je w wanienkę obok swego synka.

Matka spojrzała z trwogą, lecz i uwielbieniem zarazem na tę matkę drugą, która nie obawiała się dla dziecka swego zetknięcia z trądem, od którego uciekali wszyscy, na który nie było lekarstwa. Trwoga jej zamieniła się w radość wielką, gdy po chwili podróżna, wyjąwszy z kąpielki dziecko, podała je uszczęśliwionej matce czyste i różowe.

Trąd zginął, niby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, a dziecko zdrowe i jędrne uśmiechało się do matki, żądając pokarmu. Kobieta, przeczuwając cud, rzuciła się na kolana przed podróżnymi, a w tejże samej chwili stanął

w drzwiach chaty ponury i groźny zbójca. Maczuga w górę wzniesiona opadła bezwładnie na ziemię, gdy zobaczył syna pozbawionego trądu i dowiedział się z ust żony o cudownem uzdrowieniu, a wzniósłszy strwożone oczy na nieznanych podróżnych, spostrzegł nad głowami ich jasność świetlaną, otaczającą ich aureolą świętości. Na widok ten padł na kolana, zrozumiał, że niezwykłych ludzi ma przed sobą, a posłyszawszy, że jest to Matka Boża, uciekająca z synaczką swoim i świętym Józefem przed pościgiem króla Heroda, wyprowadził ich z lasu ciemnego na bezpieczną drogę, a na pożegnanie przysiągł zaprzestać zbrodni swych i uczciwym zostać człowiekiem.

Wróciwszy do chaty, poczuł zapach niezwykły róż, fiołków i lilii, wydzielający się z wody, w której kąpał się mały Jezusek z synem jego, okrutnego zbójcy. Żałość ogarnęła go za dawne zbrodnie i z wdzięczności za uzdrowienie dziecięcia, rozpoczął życie pokuty. Bóg miłosierny wybaczył mu wszelkie grzechy i przestępstwa, pozwalając wrócić na drogę cnoty.

Po strasznej burzy pogodny nastąpił poranek, a świt różowy wschodzącego słońca

oblał niebo, gdy Przenajświętsza Rodzina, wyprowadzona z lasu przez nawróconego zbójcę, na szarem stała polu. Skowronek, ten śpiewak Boży, wzbijając się pod obłoki, piosnką witał budzący się dzionek, a na skraju pola wieśniak, odmawiając modlitwę poranną, po-



pędzał wołki przy pługu. Lemiesz krajał czarną ziemię, odwracając skiby, a wieśniak zorawszy kawał pola, niepomny na trud i uznojenie, w świeżo zoraną ziemię rzucał garście ziarna, ciesząc się nadzieją zbioru. Cisza i spokój panowały wokoło, lecz czujne ucho podróżnych pochwyciło w oddali tentent kopyt końskich.

Zaniepokojona tem Panna Najświętsza oddała dziecie siwowłosemu towarzyszowi, a zbliżywszy się do wieśniaka, odebrała mu miech z ziarnem. Przepasawszy się płachtą, pełną garścią rzucała ziarno, a przeszedłszy pole całe, wróciła do wołków i ujawszy pług w drobne ręce, głosem łagodnym zachęcała je do pracy.

Zdumiony wieśniak patrzył, jak rzucone

ziarno niknęło pod skibami czarnej ziemi, a zdziwienie jego przeszło wszelkie granice, gdy obróciwszy się, zobaczył, że co tylko przyorane ziarno wydaje kielki, że pole całe zielenić się zaczyna, że żyto rośnie mu w oczach, bieleje, dojrzewa i łan cały, falujący dojrzałymi kłosa, gotowy czeka na żeńców. Przerażony padł na kolana, a podniósłszy oczy, ujrzał przed sobą niebiańską postać Najświętszej Paniienki z blaskiem jasnym nad głową i posłyszał łagodne słowa:

— Wstań, dobry człowieku, a przyniósłszy z domu kosę, sprzątaj swoje zboże. Gdy cię tuś zapytają o podróży, odpowiedz, że przechodzili tędy, gdy siałeś żytko. Mówiąc, niknęła wraz z dzieciątkiem i starcem zrywającym leśne żyta, a wieśniak oprzytomniałszy, zrozumiał, kogo miał przed sobą. Kilka chwil zatętniło w oddali i na polu lasu stanęli zbrojni siepacze.

— Hejże, zawołali na kmiotka, koszącego łan zboża, nie przechodził tędy starzec siwobrody i niewiasta z dziecięciem w ubierst?

— A toć przechodzi wędrowny rycerz, odparł wieśniak, kłaniając się czapą świętym rycerzom, a bodaj i takich widziałem.

— A dawno temu? zapytał dowódca.

— Nie pomnę dokładnie, odrzekł kmiotek, bo podróżnych tu wiele.

— Przypomnij-no sobie, zachęcał dowódca, — starzec i młoda niewiasta.

— A prawda, odparł kmiotek, toć jeszcze mówili mi „szczęść Boże“, ale dawno to już było, dawno, ot wtedy, gdy siałem to żytko, które koszę teraz.

Dowódca odwrócił się do swego oddziału. Daremną byłaby pogoń, rzekł. Od tego czasu już są chyba dawno w bezpiecznem schronieniu, a rzuciwszy chłopu pieniądz, zawrócił do lasu.

Siepacze króla Heroda, wysłani w pogoń za małym Jezusem, podążyli za swym dowódcą. Na polu pozostał kmiotek i na drugim brzo-
łanu zbożowego Przenajświętsza Rodzi-
chodząca do Egiptu.



13. Anusia-pasterka.

Erzeczna Anusia wstała razem z jutrzenką — tą jutrzenką, której większa część małych mych czytelniczek nie zna wcale, albo znają ze słyszenia tylko, pogrążona w śnie głębokim za jej ukazaniem. — Dla dziewczynki przecież, zrodzonej na wsi i tam wychowanej, sen tak długi jest zbytkiem, na który pozwolić sobie nie może.

Na wsi trzeba rychło rano wydoić krowy, przecedzić mleko, wypędzić bydło na łąkę, to też Anusia, chociaż trzynaście wiosen dopiero liczy, wiele ma pracy i zajęcia. Odwaga i zapał do pracy podwaja jej siły. Wie ona, że rodzice jej bardzo są ubodzy, żniwo w tym roku było liche, a właściciel nędznej ich zagrody, bogaty handlarz bydłem, groził surowo, że jeżeli zaległego nie odbierze czynszu, wyrzuci ich z mieszkania.

Mała dziewczynka dzieli troski rodziców i z ciężkiem sercem wypędza owieczki na

łąkę za pierwszym ukazaniem się na niebie bladych promieni marcowego słońca. Anusia nie próżnuje nigdy, — robi pończoszki dla najmłodszego braciszka, nie spuszczaając z oczu powierzonych sobie owieczek, gotowa każdej chwili spieszyć z pomocą w razie grożącego im niebezpieczeństwa.

Zdarzało się nieraz, że spędzającą dnię całe na powietrzu Anusię deszcz splukał dobrze, ale dawno już nie nagromadziło się tyle czarnych i gęstych chmur na niebie, co dziś właśnie. Ciemność pokryła ziemię i deszcz zaczął lać strumieniami.

Biedna Anusia zawołała owieczki, najmłodsze jagniątko wzięła na ręce i tuląc je do siebie, schroniła się pod rozłożyste drzewo.

Nieszczególna to przecież była ochrona, gdyż drzewo, ogołocone jeszcze z liści, tylko gdzie niegdzie świeciło zielonemi pączkami.

Wśród ciszy, przerywanej jedynie łoskotem spadających strumieni deszczu, odezwał się nagle głos jakiś męski, śpiewający znaną piosnkę ludową, i równocześnie na zakręcie drogi ukazał się jeździec na koniu, popędzający przed sobą bydło. Jeździec zatrzymał konia przed Anusią i przestając śpiewać, odezwał się do niej: „Hej, pastereczko, czy nie wiesz

o tem, że jeżeli wkrótce ulewa nie ustanie, ty i twoje owieczki przemokniecie do kości?"

— Wiem o tem dobrze, panie, — odpowiedziało dziewczę, — ale mieszkanie nasze stąd daleko, a biedne moje jagniątko nie miałyby sił do tak dalekiej drogi w tym deszczu ulewnym.

— A gdzie mieszkasz, maleńka? zapytał jeździec.

— Około młyna, po drugiej stronie rzeki, mój dobry panie.

Jeździec spojrzał na Anusię, drżącą z zimna, na ubogie jej sukienki, z których deszcz spływał strumieniem, na owieczki, które becząc, tłoczyły się około swej pasterki, i w oczach jego łza zabłysła na widok cichego poddania, z jakim dziewczynka los swój znosiła.

— Chodź-no; mała, wejdź na konia, a jagniątko umieścimy w koszykach, wiszących przy siodle, — zawołał. Schodząc z konia, pomógł Anusi wdrapać się na grzbiet potulnego zwierzątka i na ramiona jej zarzucił swój płaszcz ogromny, okrywający ją całą, poczem w dalszą ruszono drogę.

Deszcz padał ciągle, lecz Anusia, zabezpieczona przed nim i spokojna o los jagnią-

tek spoczywających w koszach, odzyskała zwykłą wesołość i odpowiadała nieznanemu towarzyszowi śmiało na zapytania, rodziny jej dotyczące.

— Trzeba panu wiedzieć, kończyła swe opowiadanie, że nieszczęście prześladowe nas od pewnego czasu. Jedno złe spada na nas po drugim, niby ta brzydka ulewa, która ustać nie myśli. Co przecież począć? — nie trzeba tracić nadziei i ufać, że dobry Bóg zlituje się nad nami. Nieprawda, panie, — po deszczu następuje pogoda?

Jeździec nic nie odpowiedział, zatopiony w myślach.

Dojechano nareszcie do zagrody rodziców Anusi. Nędzna to była chatka, do której wiatr dał przez szczeliny w drzwiach, deszcz przeciskał się przez szpary w oknach i suficie.

Anusia zeskoczyła szybko z konia i zwracając się do swego towarzysza, zawołała:

— Proszę, wstąp pan do nas, a czekając, aż deszcz padać przestanie, przyjmij gościnę i szklanekę mleka.

— Bardzo chętnie, maleńka, z nadto jesteś grzeczną, aby ci odmówić się godziło. Anusia pobiegła uprzedzić matkę, a gdy ta wyszła powitać gościa, na widok niezna-

mego w tył się cofnęła zdziwiona i przerażona.

— Pan Antoni? zawołała, błędąc.

— Właściciel, dodał z miną przerażoną najmłodszy chłopczyk, kryjąc się za suknią matki.

— Czy podobna, zawołała Anusia, pan byłbyś... Umilkła, ale wzrok jej mówił wyraźnie, — byłbyś pan tym nielitościwym, który chce nas wyrzucić?

Pan Antoni, nic nie mówiąc, wszedł do jedyne go pokoju, znajdującego się w chatce, usiadł, wyciągnął z kieszeni fajeczkę i nakładając ją tytoniem i spoglądając z pobłażliwym uśmiechem na przestraszone dzieci, odezwał się w te słowa:

— Tak, ja jestem właścicielem, ale nie obawiajcie się, abym przychodził do was po pieniądzu. Anusiu, daj mi szklanekę mleka, a ty, matko, zaniechaj tej wystraszonej miny, która mi przykrość sprawia... Macie córkę, skarb prawdziwy, — jest ona dobra, pracowita i odważna; — przez wzgląd na nią nie wspomnę o zapłacie, aż dopiero po żniwach roku przyszłego.

— Panie, wydobyło się z ust obecnych

i matka wraz z dziećmi rzuciła się ku właścicielowi, aby mu rękę uścisnąć i podziękować za wspaniałomyślne słowa.

— Nie wszystko to jeszcze, przerwał bogaty hodowca bydła, każe wam wyporządzić dach i wprawić drzwi szczelne. Syna waszego najstarszego radbym przyjąć do siebie za pastucha mych krów i płacić mu będę dwadzieścia talarów na rok. Jak wam się to wydaje?

— Ach, jaki pan dobry, jaki dobry, powtarzała Anusia z oczyma łez pełnemi, ale były to łzy radości.

— Pożegnaj się z matką i siostrą, zawołał gość, wypiwszy szklanek mleka i zabierając się do odejścia.

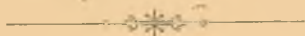
Rodzina cała odprowadziła go, dziękując i błogosławiąc aż za próg chatki.

Deszcz przestał już padać, a promienie słońca przeglądały się w kałużach wody, zdala jak szkło błyszczących.

Gość wskoczywszy na konia, trzymanego za uzdę przez brata Anusi, zawołał jeszcze:

— Żegnam was, dobrzy ludzie, bądź zdrowa, Anusiu! Widzisz, że miałaś słuszość, pokładając ufność w miłosierdziu Boga; — nie opuszcza On nigdy ludzi odważnych, tem mniej

małych, dzielnych dziewczynek. Przywiązanie do rodziców przynosi szczęście dzieciom. Wskazując zaś na błękitne niebo, na którym zdala tęcz różnobarwna się ukazała, dodał: Patrz, Anusiu, — wszakże powiedziałaś, że po deszczu następuje pogoda.



14. Mysikrólik.



— **P**atrzcie, jaki to piękny, malutki ptaszek, wołał Kazio, przeglądając dużą książkę z obrazkami. Niepodobna aby to był ptaszek prawdziwy, to może chrabąszcz jaki....

— Jest to zapewne kolibr, odpowiedział

starszy Wacio, zaglądając ciekawie przez ramię braciszka.

— Otoż mylicie się obaj, odparł najstarszy z braci Janek, uczęszczający już do gimnazjum i uczący się historyi naturalnej. Nie jest to ani gatunek chrząszcza, jak myśli głupiutki Kazio, ani kolibr, jak utrzymuje Wacio. Kolibrów nie ma u nas; żyją one w dalekich, gorących krajach, a to jest nasz zwyczajny, poczciwy mysikrólik, który nawet i w zimie u nas pozostaje i śpiewem swym rozwesela opustoszone lasy.

— Królik myszy, zawołali malcy, klaszcząc w rączki; nie wiedzieliśmy, że myszy mają króla....

— A więc to nie ptaszek, ale mysz, choć ma dziób i skrzydełka, wołał Kazio.

— Skądże znowu, odparł Janek. Czyż nie widzisz, że ma dzióbek cienki i ostry, skrzydełka różnokolorowe, a na głowie żółtą łatkę, niby koronę złotą? Czyż nie widzisz, że ma dwie nóżki i długi, wysmukły ogonek?

— A dla czego nazywa się królem myszy?

— Posłuchajcie, a opowiem wam o tym maleńkim śpiewaku, rzekł Janek. Otoż przed wielu, wielu laty, gdy Bóg stworzył świat, a na nim różne zwierzęta i ptaki, powstało

straszne zamięszanie. Zwierzęta wszystkie chciały panować, pożerały się nawzajem, łup sobie wydzierając, aż wreszcie widząc, iż bezkrólewie takie trwać nie może, obrały z pomiędzy siebie lwa królem. Odtąd zapanował spokój, a lew, rządząc mądrze i sprawiedliwie, wszelkie rozsądzał spory i zjednał sobie wkrótce posłuszeństwo zwierząt.

Ptaki zapragnęły naśladować ich przykład i postanowiły także z pomiędzy siebie obrać króla. Długo trwały narady, spory i kłótnie. Swarliwe ptaki na jedno zgodzić się nie mogły, a las cały rozbrzmiewał ich świągotem hałaśliwym. Wystąpiła nareszcie najwięcej kłótniwa i hałaśliwa srocza i zaproponowała zgromadzonym, aby tego obrać królem, kto najwyżej w górę się wzbije. Radę sroczy przyjęto z zapalem i ptaki stanęły do napowietrznych wyścigów. Wkrótce wyprzedził wszystkie dumny orzeł i wzbiwszy się pod obłoki, pewien zwycięstwa, z tryumfem spojrział na współzawodników, usiłujących mu sprostać w locie. Naraz strasznym zapłonął gniewem, bo otoż w górze nad sobą usłyszał śpiew wesoły. Podniósł głowę i ujrzał małego niepozornego ptaszka, który ukrywając się wśród wyścigów na jego grzbiecie, wbił

się wraz z nim w górę, a teraz, gdy mocarz odpoczywał znużony, przebiegły ptaszek rozwinął skrzydełka i wzbijając się wyżej, odniósł zwycięstwo.

Niepodobna pozwolić zadrwić z siebie, pomyślał orzeł z gniewem, a zwoławszy swych towarzyszków, postanowił zabić małego ptaszka. Ten przecież tak zręcznie unikał pogoni, przemykając się pomiędzy gąszczem krzewów, że prześladowcy nie mogli go doścignąć. Zmęczony wreszcie i strudzony wemknął się w mysią jamę, sądząc się bezpiecznym w tem niedostępnem dla większych ptaków schronieniu.

Goniące go ptaki stały się zagniewane, postanawiając pilnować wejścia i głodem zamorzyć zuchwalca. Niedługo przecież mogły tam pozostać, gdyż właśnie cała skrzydlata gromada dążyła na ostateczny obór króla. Pozostawiwszy więc na straży u wejścia sowę i poleciwszy jej pilnować więźnia, udał się orzeł z towarzyszami na polankę wśród lasu, aby dokonać ceremonii oboru. Sowa wśród ciszy, jaka nastąpiła po odlocie ptaków, zmrużyła na chwilę ogromne oczy, a więzień, korzystając z drzemki dozorczyni, wymknął się niepostrzeżenie, zjawiając niespodzianie

na polance wśród zdziwionego zgromadzenia ptasiego.

Trudno było odmówić mu pierwszeństwa i ptaki chcąc nie chcąc przyznać były zmuszone niepozornemu towarzyszowi tytuł królewski, wkładając mu na głowę złotą koronę. Chcąc się przecież zemścić i okryć nowo wybranego władcę śmiesznością, nazwały go mysikrólikiem dla tego, że ukrywał się w mysiej dziurze.

Sowa zaś od owego wydarzenia stała się pośmiewiskiem ptaków, które tak jej dokuczały, że aby uniknąć tego, w dzień sypia, a w nocy dopiero, gdy wszystkie ptaszki do snu się układają, ona żyć zaczyna.

Wiecie teraz, dokończył Janek, dla czego ptaszek ten nazywa się królikiem mysim, a więc oglądajcie sobie książkę dalej, a na mnie czas do szkoły.

Malcy długo jeszcze przypatrywali się małemu królikowi, tworząc plany, że z nastaniem ciepłych dni wiosennych wybiorą się z Jankiem do lasu, aby z sławetnym tym królikiem, który zadrwił sobie z orła, najpotężniejszego z ptaków, bliższą zawiązać znajomość.



15. Kukulka.



W schłodnej chacie zamożnego kmiecia krzątała się gospodyni, wsadzając chleb do pieca. Gromadka dzieci, bawiąc się na środku izby, czekała z upragnieniem, rychło im matka poda ulubiony przysmak, jakim była świeżo upieczona kukielka. Matka nie zapominała nigdy o życzeniu dzieci i obok wspaniałych, ogromnych bochenków, przeznaczonych dla ojca i czeladzi, znalazła się zawsze w piecu smaczna zrumieniona kukielka dla czekającej chciwie dziatwy.

I dziś więc, wysadziwszy z pieca kilka-naście bochenków pięknie zdarzonego chleba, gospodyni, dumna z swego dzieła, zabierała się właśnie do wyjęcia kukielki, gdy wtem zapukano do drzwi chaty i na progu stanął staruszek siwiuteńki z podróżnym kosturem w rękę, a obok niewiasta z maleńkiem dzie-cięciem.

— Niech będzie pochwalony, odezwał się staruszek, uchylając czapki.

— Na wieki, odpowiedziała gospodyni, pod boki się ująwszy, a czegoż to chcecie?

— Wsparcia prosimy, odrzekł starzec, bośmy głodni i spragnieni.

— Woda jest w studni na podwórku, odrzekła skąpa kobieta, a chleba ni kawałka nie mam w domu, ot, ciasto w dzieży dopiero.

— A w piecu nic jeszcze nie macie? zapytał starzec.

— A cóżbym tam mieć miała? toć ogień dopiero niecę. Idźcie dalej i niech Bóg was wspomaga, dodała drzwiami trzaskając.

— Niech Bóg zapłaci, rzekł starzec, oddalając się z niegościnnego progu, a za nim szła niewiasta, upadając ze znużenia i niosła kwilące cicho dziecię.

Gospodyni widząc, iż podróżni oddalili się od domu, z śmiechem podeszła do pieca, a biorąc kukielkę, podniosła ją w górę i pokazując dzieciom, zawołała: a kuku.

Wtem szum straszny powstał w izbie, drzwi otworzyły się z trzaskiem, pokorny przed chwilą staruszek stanął w nich groźny, a podnosząc kostur podróżny w górę, zawołał:

— Skąpa i Nielitościwa kobieto, nakarmić nie chciałaś zgłodniałych podróżnych chleba

kęsem, choć pełną komorę masz upieczonych bochenków, a więc z woli Najwyższego zamienisz się w ptaka, jakiego głosem odezwałaś się przed chwilą.

Zniknął staruszek, a z przerażonej gospodyni spadać poczęły szaty kobiece, a natomiast wyrastać czarne lśniące pióra.

Głos ludzki zamarł w gardle nielitościwej kobiety i poczęła wołać tylko żalosnem, przeciągłem: kuku, kuku.

Strwożone dzieci chowają się w kącik izby, patrząc z zgrozą, jak za chwilę na jej środku zamiast matki stoi szara, lśniąca kukułka, jak trzepoce skrzydłami, wzbija się w górę i, ot już na dachu słomianej strzechy, odzywa się: kuku, kuku.

Odtąd kukułka bezdomnym stała się ptakiem. Jak każdy z ptaszków obmyśla schronienie dla swych piskląt, ściele im miękkie, puszyste gniazdeczko, znosi pokarm, żywi i osłania, tak kukułka tuła się po polach, lasach, bez schronienia, bez gniazda, a podkładając jajka w gniazdka ptaków innych, nie dba o własne pisklęta, nie zna ich nawet, pozostawiając innym trud cały wylęzenia ich i wychowania.

Jak zaś jest złośliwą i mściwą, niech i to

posłuży za dowód, że gdy Przenajświętsza Rodzina, chroniąc się przed prześladowaniem okrutnego Heroda, uciekała do Egiptu i w lesie szukała schronienia pod gałęziami rozłożystego krzaku leszczyny, kukułka usiadła na wierzchołku drzewa i nadciągającym zbirom głośnem wołaniem zwracała uwagę na zbiegów. Bóg przecież nie dopuścił, aby ptak złośliwy cieszył się swą zdradą. Leszczyna opuściła nisko swe gałęzie, otuliła niemi, niby płaszczem nieprzejrzystym, świętego Józefa i Panienkę Najświętszą z dzieciną, a wysłańcy chciwego krwi Heroda poszli dalej, nie odkrywwszy podróźnych.

Kukułka pozostała na zawsze tułaczką wśród ptaków innych, a leszczyna w nagrodę za to stoi w czasie burzy wolna od uderzenia pioruna i podróźni chętnie kryją się pod jej gałęzie, bezpieczni przed gromem, zionącym śmiercią.



16. ♦ Przechadzka.



piękny i ciepły dzień jesienny wybrał się pan Wojciech na przechadzkę z najmłodszym synkiem, Stasiem.

— Ojczy, odezwał się Staś, zwracając głowę ku ogrodowi, około którego przechodzili, jestem głodny.

— Ja także, mój chłopczy, odpowiedział pan Wojciech. Trzeba nam czekać cierpliwie, dopóki nie wrócimy do domu.

— Patrz, ojczy, jakie ogromne drzewo, okryte dojrzałemi gruszkami. Ach! jak chętnie zjadłbym z nich jedną.

— O! wierzę, ale nie zapominaj, że drzewo jest w ogrodzie ze wszech stron zamkniętym.

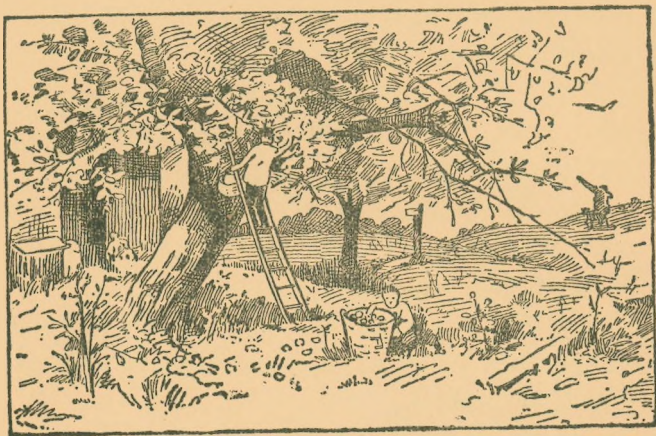
— Ogrodzenie nie bardzo jednak szczelne, a otoż otwór, przez który dostałbym się wybornie do ogrodu.

— A cóżby na to powiedział właściciel, gdyby cię tam zastał?

— O, jestem pewny, że go tam nie ma i że wogóle niktby mnie nie spostrzegł.

— Mylisz się, mój chłopcze, odpowiedział ojciec, zapominasz, że jest ktoś, który widzi nas zawsze i który ukarałby nas z pewnością za to, co chcesz uczynić.

— I któż to taki, ojcze?



— Ten, który wszędzie jest obecny, który na chwilę jedną nie traci nas z oczu i który każdą myśl naszą przenika. Jest to Pan Bóg.

— Ach! masz rację, ojcze, nie myślałem o tem nawet.

W tej chwili z poza płotu ukazał się starzec jakiś, którego ojciec z synem nie wi-

dzieli dotąd, ponieważ siedział na niskiej darniowej ławeczce. Był to właściciel ogrodu, a popatrzywszy na Stasia, w te odezwał się słowa:

— Podziękuj Bogu, mój chłopcze, że ojciec twój przeszkodził ci wejść ukradkiem do mego ogrodu, by wziąć rzecz, nie należącą do ciebie. Dowiedz się bowiem, że u stóp ogromnej tej oto gruszy założono pułapkę dla schwytania złodziei. Byłbyś połamał nogi i zostałbyś kulawym na całe życie. Ponieważ przecież na słowa mądre ojca twego okazałeś bojaźń Boga i zaniechałeś twych zamiarów, przeto z przyjemnością podaruję ci owoc, którego pragnąłeś.

Powiedziawszy to, poszedł do gruszy, nagiął gałąź, a napełniwszy kapelusz najpiękniejszymi złoto-żółtymi gruszkami, podał go Stasiowi.

Pan Wojciech chciał pieniędzmi wynagrodzić gościnnego starca, ale ten ani grosza nie chciał przyjąć.

— Mam przyjemność w tem, iż mogę uraczyć twego chłopca, panie, a przyjemność ta zniknęłaby, gdybym przyjął pieniądze, tłumaczył się, odsuwając napełnioną sakiewkę.

Pan Wojciech podziękował mu uściskiem

ręki, a starzec patrzył z zadowoleniem na Stasia, zjadającego z apetytem soczyste gruszczyki.

— A to dobry człowiek, zawołał Staś do ojca, dogryzając ostatnią gruszkę.

— Tak, mój synu, a do cnoty tej doszedł zapewne przez silne przekonanie, że każdy dobry uczynek bywa wynagradzany przez Stwórcę tak, jak każdy zły karany.

— Pan Bóg ukarałby mnie zatem, gdybym był zerwał gruszkę?

— Toć już ten starzec powiedział ci, co by cię było spotkało.

— Ach! biedne moje nogi, byłyby połamane teraz.... Ależ to jednak nie Pan Bóg urządził tam zasadzkę!

— No, z pewnością nie sam Bóg ją urządził, ale pułapka nie była tam postawiona bez jego wiedzy i woli. Bóg, moje dziecko, całym rządzi światem i nigdy nie pozostawia ludzi dobrych bez nagrody, a złych bez kary. Opowiem ci pewną przygodę z czasów mej młodości, która tak żywo utkwiała mi w pamięci, że do dziś zapomnieć jej nie mogę.

Gdy byłem małym chłopczykiem, jak ty dzisiaj, mieliśmy dwóch sąsiadów, z prawej

i lewej strony domu mego ojca. Jeden nazywał się Niedbał, drugi Trawka.

Każdy z nich miał syna, którym było na imię Bronisław i Stefan.

Poza domami były małe ogródki, oddzielone od siebie żywym płotem.

Bronisław, znajdując się w ogrodzie ojca swego, rzucał na wszystkie strony kamieniami, nie troszcząc się bynajmniej o to, że mógł kogoś zranić. Ojciec spostrzegłszy to, gniewał się na niego, przyrzekając ukarać go surowo, jeżeli nie zaprzestanie tej zabawki. Chłopiec przecież czy nie wiedział, że nie trzeba źle czynić, nawet wtedy, chociaż nikt nie patrzy na nas, czy też nie chciał się wyrzec ulubionej rozrywki. Upatrzywszy chwilę, w której ojciec oddalił się z domu i sądząc się bezpiecznym, napełnił kieszeń kamykami i począł je ciskać na wszystkie strony.

Właśnie w tej chwili pan Trawka z synem swym Stefanem w swoim znajdował się ogrodzie, czatując z nabitą strzelbą na wróble, które objadały mu tereśnie. Stefan, tak samo jak Bronisław, sądził, że wystarcza wstrzymać się od czynienia źle, gdy na nas patrzą, a gdy jesteśmy sami, wolno czynić, co się podoba. Gdy ojca jego odwołano do do-

mu, a ten odchodząc, przykazał synowi surowo, aby fuzyi nie ruszał, Stefan pozostawszy sam powiedział sobie:

— Nie widzę nic złego w pobawieniu się przez chwilę strzelbą ojca, a wzięwszy flintę do ręki, zaczął się mustrować, niby żołnierz. Prezentował broń, kładł ją na ramię, celował, przymierzał...

Lufa flinty obrócona była ku ogrodowi pana Niedbała w chwili, gdy Stefan celując przymknął lewe oko. Kamień rzucony przez Bronisława, uderzył go nagle w powiekę. Stefan z przestachu i bólu upuścił fuzyą; strzał się rozległ i w tejże chwili odezwały się krzyki bólu w obydwóch ogrodach.

Stefan krzyczał, nie mogąc otworzyć oka, Bronisław zaś, dostawszy cały nabój w nogę. Jeden pozostał na zawsze niewidomym na jedno oko, — drugi kulawym.

— O! biedne chłopcy, zawołał Staś, jakże ich żałuję.

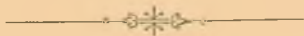
W rzeczy samej byli pożałowania godni, więcej przecież jeszcze żałuję ich rodziców, że mieli tak niesforne i nieposłuszne dzieci. Dla małych nicponiów przygoda ta szczęściem była niemal.

— Jak to, mój ojciec?...

— Zaraz ci to wyjaśnię. Gdyby Pan Bóg nie był ich za młodu ukarał, byliby zawsze źle czynili, gdy nikt na nich nie patrzył, a tak przekonali się, że i wtedy jeszcze widzi ich Pan Bóg i karze za złe uczynki.

Po smutnem doświadczeniu stali się grzesznymi i bogobojnymi, poprawili się, unikając odtąd złego, choć byli sami.

Pan Bóg, dotykając nieszczęściem nieposłusznych chłopców, miał tylko dobro ich na celu, bo sprawiedliwy ten ojciec karze nas dla tego, abyśmy stawali się lepszymi.



17. Szczęśliwa nieświadomość.

Mała Sewerynka z starszym braciszkiem, Józiem, bawiła się nad brzegiem wielkiego stawu. Zbierali kamyczki i muszle, a wreszcie wsiedli w stojącą na mieliźnie wannę. Józio wzięwszy wiosło, popłynął z siostrzyczką na środek stawu.

Jakże cieszyły się dzieci, płynąc po spokojnej wodzie! Naraz zerwał się wiatr, czarne ukazały się chmury i powstała straszna burza. Pioruny uderzały co chwilę, jaskrawe błyskawice rozdzierały niebo, a grzmot huczał nieustannie.

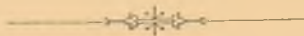
Dzieci pospieszyły do brzegu. Mała Sewerynka tuliła się przestraszona do brata i pytała go, co by to znaczyć miało.

— To Pan Bóg, odpowiedział Józio, na złych ludzi się gniewa.

— Na złych ludzi? powtórzyła zdziwiona dziewczynka, a gdzież oni są? ja tylko o złych psach słyszałam.

W tej właśnie chwili przechodził wtedy ksiądz pleban, a słysząc słowa Sewerynki, rzekł:

— Szczęśliwe dziecię! wzrastasz w domu, pełnym cnoty, — nic więc dziwnego, że nie wiesz o złych ludziach. Obyś zawsze w podobnej żyła nieświadomości!



18. Guzdralska.

Mała Kasiunia strasznie była powolną i leniwą. Przyszedłszy z szkoły, rozrzucała książki i zeszyty po stołach i krzesłach, zamiast je włożyć do przeznaczonej dla nich szafki; kapelusz kładła na łóżko, rękawiczki i okrycie rzucała na komodę, a już chustki do nosa szukała zawsze, nie pamiętając, gdzie ją włożyła.

Napróżno strofowała ją matka i starsza siostrzyczka, stawiając za wzór inne porządne dziewczynki. Kasia z brzydkiej wady wyleczyć się nie chciała. Zamiast za przykładem rodzeństwa wieczorem, zanim spać się położyła, poukładać swe sukienki i przysposobić ubranie na dzień następny, Kasia zostawiała wszystko w największym nieładzie, a rano wstawszy późno, zaledwo do szkoły zdążyła, szukając to pończoszek, to kołnierzyczka i ubierając się w nieskończoność. Po części nie zdoławszy zjeść śniadania, głodna szła do

szkoły, a wśród rodzeństwa zyskała sobie miano Guzdralskiej i była powodem nieustannych drwin i żartów.

Razu pewnego matka rzekła wieczorem do zgromadzonej przy kolacyi dziatwy.

— Jutro przy niedzieli wybierzemy się na wycieczkę do lasu. Pojedziemy koleją do najbliższej stacyi, a zabrawszy pożywienie, zabawimy w lesie dzień cały i wieczorem dopiero wrócimy do domu. Pociąg odchodzi rychło rano, a więc starajcie się być gotowe, bo kolej nie czeka za nikim.

Dzieci poskoczyły uradowane. Ileż to radości, ile uciechy spędzić dzień cały pod gołym niebem, wśród cieniu drzew niebotycznych, jeść śniadanie i obiad na miękkiej, zielonej murawie przy śpiewie ptaszków i zapachu wonnych leśnych kwiatków. A jazda koleją, pośpiech, tłok, szum i gwar, wszystko to bardzo nęciło małych podróżników, spragnionych wrażeń i nowości, spać im prawie nie pozwalając.

Nazajutrz skoro świt dzieci stanęły z torebkami podróżnemi, gotowe do drogi. Przyśposobiwszy sobie wieczorem ubrania i wszelkie przybory podróżne, ubrały się w mig i zgromadzone przy śniadaniu oczekiwały na hasło udania się na dworzec.

Brakło jedynie wśród nich małej Kasinki, która położywszy się dnia poprzedniego spać i nie przygotowawszy nic na dzień następny, dziś ubierała się jeszcze, szukając napróżno bluzki i paska. Łzy zalewały twarzyczkę małej Guzdralskiej, a gorączkowy pospiech opó-



źniał jeszcze znalezienie szukanych przedmiotów.

— Dzieci, czas na dworzec, odezwała się matka, a cała gromada ruszyła ku drzwiom z pospiechem.

— A gdzież Kasia?

— Tu, mamó, zawołała dziewczynka, wybiegając w spódniczce i kaftaniczku z pokoju. Bluzki znaleźć nie mogę, a u sukienki trzeba jeszcze przyszyć guzik urwany.

— Był na to czas wczoraj, rzekła matka, a teraz pociąg nie będzie czekał za nami i ku wielkiemu zmartwieniu Kasi podążyli wszyscy na dworzec, ją w domu zastawiając.

Zdarzenie to było nauką na przyszłość dla dziewczynki, która odtąd nauczyła się ładu i porządku tak, że z czasem przestano ją nazywać Guzdrałską.



19. Zbytni pośpiech.

Mała Marylka nadzwyczaj była żywą i roztrzepaną. Znieść nie mogła, gdy starsza jej siostrzyczka każdą powierzoną sobie czy to przez matkę, czy nauczycielkę pracę odbywała z uwagą i starannie.

— Powolną jesteś jak mucha w smole, woła niecierpliwie, długo tam jeszcze ślęczyć będziesz? Ja ukończyłabym dawno zadanie i byłabym już w ogrodzie. Nuże dalej, — spiesz się.

Anulka, powolniejsza z natury, podnosiła błędne oczy na trzpiotkę, odpowiadając:

— Wolę posiedzieć dłużej nad robotą i wykonać ją dobrze, aniżeli załatwić się szybko, a na rzadki pytel.

— Ja zaś lubię wszystko prędko robić, mówiła Marylka, i nikt mnie powolną, ani nudną nie nazwie.

Razu pewnego zawołała matka do swego pokoju obiedwie dziewczynki i rzekła:

— Dosyć już jesteście rozsądne, aby mi pomódz w pracy. Dziś mam wiele zajęcia z smaženiem soku i konfitur, a wasze dwie sukienki winny być poprute do jutrzejszego prania. Posiedźcie tu godzinkę i sprujcie sukienki, a uważnie, aby nie przeciąć materyi. Pamiętaj, Marylko, że nikt cię nie goni, dała, znając usposobienie córeczki, — pruj ostrożnie i wolno.

Marylka, biorąc do serca słowa matki, zasiadła poważnie i z początku przecinała nitki z uwagą, odkładając sprute bryty na stronę. Wkrótce przecież znudziła jej się mozolna praca.

Dla czego, pomyślała sobie, nie mam załatwić się prędzej i wyfrunąć do ogrodu, gdzie tak przyjemnie wśród drzew cieniu? Nudna to sprawa każdą nitkę przecinać osobno i wyciągać z materyi. Spróbuję, czy nie potrafię od razu całego spruć brytu?

Zaledwo pomyślała, a już szybko i gwałtownie pociągnęła materyę, usiłując przerwać nitkę. Z początku udało jej się nieźle i mała trzpiotka tryumfowała w duszy, że prędzej od siostrzyczki ukończy pracę. Wtem nagle przy szarpnięciu gwałtowniejszem sukienka przedarła się w poprzek, a Marylka przerażona

i zawstydzona upuściła rozdarty bryt na ziemię, nie wiedząc, jak zaradzić złemu i naprawić szkodę. Przerazenie jej wzmoгло się jeszcze, gdy w progu stanęła matka, a widząc co się stało, rzekła surowo:

— Upominałam cię, Marylko, abyś pruć uważnie, ale słowa matki nie wiele znaczą u ciebie. Zbyt ni pospiech w pracy rzadko wychodzi na dobre, a w tym razie zaszkodziłaś samej sobie. Nie mam bowiem pieniędzy na sprawienie ci nowej sukienki. — Całe lato chodzić będziesz w łataniej.

Jak zawstydzoną, czuła się Marylka, ilekroć spozrzała na podartą sukienkę, opisać trudno, tem więcej gdy porównała ją z całą i wyglądającą jak nowa, sukienką siostrzyczki.

Wypadek ten przecież podziałał zbawienie na gwałtowność jej i pospiech przy pracy, bo odtąd starała się być uważniejszą. Przekonała się, że lepiej wychodzi ten, kto pracuje wolno, a dobrze, aniżeli ten, kto z pracą załatwia się szybko, a niedokładnie.



20. Gniazdko.

Młody Wacio wyszedł z ojcem na przechadzkę do lasu. Wśród cienia drzew gęstych, niby pod ogromnym zielonym parasolem, chroniącym od piekących słońca promieni, biegał wesoło, zaglądając ciekawie w niskie, gęste krzaki leszczyny, to znów wznosząc oczy ku niebotycznym wierzchołkom sosen, dębów wspaniałych, lub poważnych buków. Naraz okrzyk wesoły Wacia zbudził z zadumy postępującego za nim ojca.

— Cóż cię tak ucieszyło? zapytał synka.

— Ach! ojcie, patrz, tam wysoko na sosnie wisi ukryte wśród gąszczu malutkie gniazdeczko. Chciałbym wiedzieć, jaki zbudował je ptaszek.

— Trudna odpowiedź, rzekł ojciec, bo niepodobna dostać się do niego i zajrzeć wewnątrz. Sądzę jednak, że budowniczym zgrabnego gniazdko będzie czyżyk.

— Skąd to przypuszczenie, ojcze? Tak samo mógłby inny być ptaszek.

— Naturalnie, mój synku, ale każdy z nich w inny sposób gniazdko buduje. Pod względem przecież zręczności i przenikliwości przewyższa niemal wszystkie malutki czyżyk. Przedewszystkiem umie doskonale ukryć gniazdko przed wzrokiem ciekawych.



— A jednak potrafiłem je odkryć na drzewie, zawołał Wacio z tryumfem.

— Masz dobre oczy, synku, a dopomogła ci ciekawość, rzekł ojciec z uśmiechem, ale przypatrz się tylko, jak otaczają je szczelnie i zakrywają niemal splątane gałązki, a umie-

szczone tak wysoko i na tak cienkiej odnodze, że niepodobna dostać się do niego. Szkodnicy też, psujący gniazda ptakom i wybierający młode, rzadko zepsują gniazdko czyżyka, a nawet kot, ten największy wróg ptasiego rodu, nie zawsze na cienkiej utrzyma się gałązce.

— Skąd w tak drobnem stworzonku tyle przenikliwości? zapytał Wacio.

— Zdziwiłbyś się, synku, gdybyś przyjrzał się uważnie pracy ptasząt przy budowie gniazdek. Skoro wiosna się rozpocznie, cała rzesza skrzydlata spieszy na wyścigi, aby przysposobić mieszkanie dla siebie i swych dzieci. Znoszą słomę, kawałki suchych gałązek, plotą z nich misterne koszyczki, zawieszają je bądź to na wierzchołkach drzew, bądź w niskich krzakach, wyściełają mchem miękkim i dopiero składają jajka. Małutki ptaszek, zwany mysikrólikiem, także wysoko umieszcza swe gniazdko w kształcie piłki, a tak misternie uplecione, że człowiek napróżno siliłby się go naśladować.

Nie wszystkie przecież ptaszki równie starannie budują gniazdko. Jak pomiędzy ludźmi, tak i między ptakami znajdują się niedbalcy, którzy byle jak klecą swe mieszkanko. Dzie-

cioły n. p., sikory, dudki mieszczą się w dziuplach drzew, a tam nie zależy im na zgrabnym wyglądzie, jak raczej na wygodzie. Znoszą też do gniazdek suche liście, mech, pióra, a choć wygląda gniazdko takie nieładnie, piskłtom będzie ciepło i wygodnie.

— Nie przypuszczałem nigdy, rzekł Wacio zamyślony, aby ptaszki tyle trudów i zabiegów poświęcały urządzeniu gniazdek.

— A dodaj do tego, rzekł ojciec, że gdy ludzie mają różne potrzebne narzędzia do zbudowania swych domów, drobne ptaszęta nie posiadają nic więcej ponad dzióbek i nóżki. Pomyśl, ile pracy kosztuje ich uplecenie gniazdka, a poznasz, jak okrutni są swawolnicy, psujący im te mieszkanka, albo, co gorzej, wybierający jajka, lub młode piskląta.

— Prawda, ojczy, trzeba być bez serca, aby się pastwić nad ptaszkami, które śpiewem swym umilają nam niejedną chwilę, psuć ich pracę i niszczyć piskłęta.

— Spodziewam się też, rzekł ojciec, że synek mój nie będzie należał do tych psotników, zachowując w pamięci następny wierszyk:

„Miejcie litość nad ptactwem, gniazdek ich nie psujcie,
Że wam pięknie śpiewają, Bogu podziękujcie.“



21. Król chłopków.

Próżnym wieczorem, po dniu całym ulewnego deszczu szedł zwolna przez rozległą wieś ubogi podróżny. Odzież jego nędzna przemokła do suchej nitki, z szerokich brzegów wytartego kapelusza woda spływała strumieniami. Nogi w dziurawych butach po kostki brnęły w kałużach, przez deszcz utworzonych.

W okienkach chat wieśniaczych świeciło się jeszcze, — podróżny zatem ośmielił się zapukać i prosić o nocleg. Próżne przecież były jego błagania. Gospodarze, widząc nędznie ubranego człowieka, zamykali drzwi z trzaskiem, nie wpuszczając go do izby i nie chcąc użyczyć noclegu. Drżący z zimna szedł podróżny dalej, tracąc już nadzieję ogrzania skostniałych członków przy ognisku i przenocowania w ciepłej izbie zamożnych wieśniaków.

Długi szereg chat kończył się i rozpoczynało puste pole, gdy nagle na samym

końcu wioski, odosobnioną od innych, spostrzegł podróżny małą chatkę o słomianym dachu i drzwiach w ziemię zapadłych. W wąskich okienkach błyszczało światło kaganka, drżąc i chwiejąc się przed podmuchem ostrego wiatru, wciskającego się szczelinami w głąb ubogiej izby. Mdłe to i nikłe światelko ośmieliło podróżnego do spróbowania szczęścia i nie namyślając się długo, zastukał w drzwi izdebki.

— Któż tam? odezwał się głos z izby i na progu stanął gospodarz chaty.

— Zbłąkany podróżny, proszący o nocleg.

— Wejdźcie, odparł kmiotek. Chata moja uboga, ale starczy miejsca dla was, a „gość w dom, Bóg w dom“ mówi przysłowie — i drzwi przed nieznajomym na oścież otworzył.

Siądźcie przy ognisku, ogrzejcie się i wysuszcie zmoczoną odzież i razem z dziećmi memi posilcie się polewką i chlebem czarnym. Nie mam nic innego, ale „czem chata bogata, tem rada“! Za chwilę wrócę, dodał, znikając za drzwiami alkierza.

Podróżny z rozkoszą zasiadł przy ognisku, spoglądając na gromadkę dzieci, zającą smacznie wieczerzę, a ogrzawszy się nieco, zjadł z apetytem miskę polewki i kawał

chleba czarnego. Skromny posiłek, podany szczerem i ochotnem sercem, wydał mu się ucztą królewską, a nędzna i uboga izdebka najwspanialszym pałacem.

Po niedługiej chwili wrócił wieśniak do izby, niosąc na ręku kwitnące niemowlę, a pokazując je podróżnemu, rzekł: Ot, obdarzył mnie Pan Bóg zdrowym i czerstwym synaczkiem; dzięki Mu za to. Ósme to z kolei dzieciątko, oby chowało się Bogu na pociechę i Ojczyźnie na pożytek. Jutro trzeba je ochrzcić.

Podróżny popatrzył na chłopaczka z dziwnym uśmiechem na ustach, a gdy uszczęśliwiony ojciec odniósł go matce, legł na ławie przy piecu i zasnął głęboko.

Nazajutrz skoro świt stał nasz podróżny gotów do drogi. Ściskając dłoń gościnnego kmiotka, rzekł do niego:

— Bóg ci zapłać, dobry człowiecze, za pocziwe i gościnne serce. Przyjąłeś mnie nieznanego w dom swój, nakarmiłeś i ogrzałeś, podczas gdy napróżno do tyłu chat pukałem. Chciałbym ci się odwdzięczyć za twą gościnność i dla twego synka nowonarodzonego sprowadzić chrzestnego. Proszę cię, poczekaj z ochrzczeniem dziecka do południa, a nie pożałujesz tego.

Kmiotek przyrzekł poczekać, choć w duszy myślał sobie: „A któżby tam z miasta chciał trzymać do chrztu dziecię ubogiego wieśniaka“, i wkrótce żałować począł swej obietnicy. Południe nadchodziło, kmiotek niecierpliwiąc się, wyglądał na gościniec, prowadzący ku miastu, przysłaniał oczy ręką przed oślepiającym blaskiem słońca i zniechęcony próżnem oczekiwaniem, wracał do komory. Gdy nareszcie po obiedzie po raz może dziesiąty wyrżał na drogę, spostrzegł hen daleko pod lasem wznoszące się tumany kurzu i wkrótce odróżnił szereg karet złocistych, zbliżający się ku wiosce. Zdumiony cofnął się na próg chaty, aż naraz cały ten orszak strojny zatrzymał się przed jego domkiem ubogim, a z najpiękniejszego pojazdu, lśniącego od złota i drogich kamieni, zaprzężonego w cztery kare rumaki, kapiące srebrem, wysiadł wczorajszy podróżny. Szata na nim królewska, wspinała, płaszcz gronostajami podbity, czapka z brylantami na głowie, a za nim orszak cały strojnych sług i dworzan.

Struchlał wieśniak poczciwy, domyślając się, że króla w własnej osobie ma przed sobą, i nie wiedział jak go witać i przyjmować.

Król przecież podchodząc ku niemu, rzekł łagodnie:

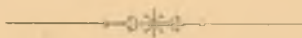
— Przyjąłeś wczoraj nieznanego podróżnego w swe progi, — otoż dziś przywodzę ci ojca chrzestnego. Daj mi swe dziecię, abym je do chrztu podał, dotrzymując ci przyrzeczenia.

Był to, jak słusznie przypuszczał kmiotek, sam król Kazimierz Wielki. Monarcha ten, chcąc się przekonać, jak dzieje się poddanym w jego państwie, nieraz w przebraniu ubogiem zwiedzał chatki wieśniacze i domy mieszczańskie, zasiadając przy jednym stole z panem, kmiotkiem i mieszczaninem. Wskutek dobroci swej i łaskawości tak dla biednych, jak bogatych i opieki, jaką roztaczał nad biednym ludem wieśniaczym, nosił przydomek „króla chłopków“ i dumnym był z niego więcej jak z tytułu monarszego.

Wieśniak nasz, przyjmując w dom nędznego podróżnego, nie wiedział, że w ubogich swych progach ugaszcza króla, a za gościnność swą i dobre serce sowitą odebrał nagrodę. Król jako ojciec chrzestny, za pośrednictwem chłopaczka, któremu własne nadał imię, obdarzył chatę poczciwego kmiotka dostatkiem, dobrobytem, czułą opieką otaczał chłopca i wykie-

rował go na zanego człowieka, dzielnego kapłana i znakomitego kaznodzieję.

Tak to dobry uczynek i gościnność zawsze należyta odbierze nagrodę, a ubogi kmio-tek, nie porzucając stanu wieśniaczego, w którym czuł się najszczęśliwszy, miał odtąd zasobne gospodarstwo, chatę dostatnią i pociechę z dzieci.



22. Kaprysy Stasia.

— **N**ie dotykaj mnie, wołał mały Staś na swą nianię; sam się ubiorę. Daj mi pokój; zrobię to tylko, co sam zechcę.

Na odgłos sprzeczki i hałasu weszła do pokoju dziecinnego mama Stasia, pytając, co się tu dzieje?

— Staś nie pozwoli się ubierać, odpowiada zafrasowana niania. Nie pozwala się myć, ani czesać, a na prośby moje odpowiada, że zrobi to tylko, co sam zechce.

Mama spojrzała na zadąsanego, nawpół ubranego chłopczyka, stojącego na środku pokoju i trzymającego za rączkę młodszą siostrzyczkę, która naśladując braciszka, także zaczęła kaprysić przy ubieraniu.

— Przestań grymasić, rzekła do Stasia, i jako grzeczny i posłuszny synek, pozwól się umyć i ubrać.

— Nie, nie pozwolę, ja nie chcę myć się,

ani czesać, wołał niegrzeczny chłopiec. Będzie to robił, co mi się podoba.

— Dobrze więc, odpowiedziała mama. Czyń to, co ci się podoba, ale pamiętaj, abyś mnie nie zapytywał o radę, ani prosił o pomoc. He-



lusię zabieram stąd, bo nie chcę, aby przypatrząc się tobie, uczyła się niegrzeczności.

Mówiąc to mama wyszła z pokoju, prowadząc z sobą Helenkę, a pozostawiając Stasia samego.

Gdy dzwii zamknęły się za mamą i siostrzyczką, wykrzyknął Staś: Brawo, raz przynajmniej zostawiono mi wolność i to czynić będę, co mi się podoba.

Narzuciwszy na siebie bluzkę i zapiąwszy ją krzywo, wsadziwszy kapelusz na nieuczesane włosy, wybiegł Staś do ogrodu i nużę pod krzak agrestu.

— A to mi ucztą prawdziwa, nie słyszę nad sobą wiecznego gderania Agaty, „dosyć, Stasiu, nie jedz więcej,” mogę jeść i używać do woli.

Rozkoszując się wolnością, kładł Staś bez upamiętania w buzię agrest. Wtem stracił równowagę i padając w sam środek krzaka, pokłął się nielitościwie o ostre kolce. Krzycząc przeraźliwie, wydostał się z niebezpieczeństwa, a w podrapanym i brudnym chłopczyku trudno było poznać starannie zwykle ubranego i dozorowanego przez troskliwą nianię Stasia.

Nie zrażając się pierwszą przygodą, pobiegł Staś w głąb ogrodu i stanął przed rzędem uli z pszczołami.

Agata nie pozwala nam się tu zbliżać, pomyślał, dziś przecież moja stanie się wola. Dalejże pukać kijkiem w ule i próbować włożyć go do środka.

Zajęty pustą zabawą, krzyknął Staś naraz przeraźliwie, chwytając się za ucho i odskoczył od ulla. Pszczoła, mszcząc się krzywdy, wyrządzanej siostrze, użądliła małego zuchwalca, a z dotkliwym bólem zdążał Staś co prędzej ku domowi.

Przed samym progiem przypomniał sobie dopiero, że mama, nadając mu wszelką wolność, zabroniła żądać rady i pomocy i stanął zawstydzony.

Gdyby chociaż Helusia przyszła, ona potrafiłaby mi opatrzyć ucho, pomyślał. Naprawdę przecież wzywał w myśli dziewczynkę. Siedziała ona w pokoju z mamą, bawiąc się lalkami, grzeczna i spokojna.

— Wiem co zrobić, zawołał Staś rezolutnie. Wejdę po cichu do mego pokoju i przed lustrem wyjmę żądło.

Wszedłszy do pokoju, zobaczył na samym środku zbudowany piękny pałac z klocków, który Agata postawiła małemu Zygmusiowi. Na widok ten zapomniawszy o bólu, jednym zamachem przewrócił pałac, wołając: to moje klocki, nie wolno ich dotykać, a zabierając je wśród płaczu braciszka, wybiegł znów do ogrodu.

Tu znalazł się niebawem równy mu psotnik,

synek ogrodnika i w dwójkę uradzili, aby ułożyć z klocków stos ogromny, spróbować go podpalić. Stasiowi bardzo się ten pomysł spodobał, tem więcej, że nie było mu zazwyczaj wolno bawić się zapalkami. Nareszcie użyję i tej przyjemności, pomyślał, trąc zawzięcie zapalki o pudełko i podniecając ogień suchemi gałązkami.

Zajętych gorliwie szkodliwą i niebezpieczną zabawką spłoszył nagle głos surowy:

— Hola! paniczu, cóż to ma znaczyć, zawołał ktoś donośnie, a podczas gdy towarzysz tej swawoli ocalił się ucieczką, pochwycił Stasia za rękę wysoki barczysty włódarz. Chcesz pewnie panicz stodołę podpalić, wołał, tego już nadto, chodź zemną.

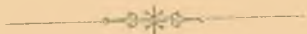
Staś w obawie, aby go nie zaprowadzono przed ojca, którego bał się bardzo, wyciągał rękę z przytrzymującej go silnie dłoni, a gdy mu się udało uwolnić, począł co sił uciekać ku domowi. Pędząc na oślep, nie widział dołu, wykopanego do wapna i obecnie zalanego wodą i głową naprzód wpadł w zimną kąpiel.

Gdyby nie natychmiastowa pomoc nadbiegającego włódarza, nieogłędny chłopiec byłby życiem przypłacił swawolę. Zmoczy-

nego i ociekającego wodą przyprowadzono do pokoju, a Helusia i Zygmus zaledwie poznali w nim braciszka.

— I cóż, Stasiu, zapytała mama, czy i jutro nie pozwolisz się ubrać i będziesz wołał: tak zrobię, jak sam zechcę?

Staś zawstydzony pocałował rękę mateczki i odtąd był zawsze posłusznym i grzecznym chłopczykiem. Jeżeli zaś czasem brała go chęć pogrymaszenia, lub zazdroszczenia rodzeństwu swych zabawek, przypominał sobie zawsze ów dzień pamiętny podług własnej spędzony woli.



23. Chciwość ukarana.

Marcysia malutką była dzieciną, gdy Bóg zabrał jej matkę. Zaledwie pamiętała słodką jej postać i czułe pocałunki, a przecież bezwiednie tęskniła za sercem matczynem i uśmiech rzadko rozweselał jej twarzyczkę. Rosło nieboże w chacie ojcowskiej potrącane i popychane przez złą kobietę, którą ojciec wziął do gospodarstwa, i zносиło z poddaniem wszelkie psoty i dokuczanie złośliwej Kundzi, córki gospodyni. Nawet poskarżyć się nie miała komu, bo ojciec, pracując przy mularzach, tygodniami całemi bywał poza domem, a wróciwszy smutny i zmęczony, niebawem do nowej udawał się pracy.

Ludzie widząc smutną i ponurą twarzyczkę Marcysi obok wesołej, uśmiechniętej Kunusi, której nie zbywało na niczem, mówili do siebie:

— Strasznie niemiłe i odstręczające jest

to dziecko i nie dziw, że Małgorzata nie ma dla niego serca.

Doszło do tego, że Marcysia w własnej chacie ojcowskiej głód nieraz cierpiała srogi, bojąc się sięgnąć do miski po łyżkę polewki, lub ukroić chleba kawałek, aby nie usłyszeć surowego głosu nielitościwej gospodyni: Nie rusz, to dla Kunusi.

Dla Kunusi były zawsze pieniądze na strojne sukienki, krasne korale i wstążki jedwabne, a Marcysia zaledwo jedną odświętną miała spódniczkę, połatany gorsecik i tasiemkę czerwoną w jasnej kosie, puszczonej swobodnie na plecy.

Coraz cięższą była dola sieroty, bo wreszcie ojciec, opanowany przez Małgorzatę, ożenił się z nią, przyjmując Kundzię za córkę, a dziecko swe rodzone czyniąc kopciuszkiem w własnej chacie. Nie narzekała przecież i nie skarżyła się przed ludźmi Marcysia, — jedynie w murach kościółka wiejskiego, gdzie to tak pięknie brzmiały organy, poruszane ręką pana organisty, gdzie lud śpiewał tak głośno, zapłakała nieraz nieboga i poskarżyła się Panu nad pany. A wyrastała sierota na hożą i krasną dziewoję, urodą swą zaćmiewając zupełnie Kunusię.

Spostrzegła to Małgorzata i zlekła się aby urodna i posażna przytem dziewczyna, boć wiano miała po matce, nie odciągnęła zalecających się od Kundzi i rychlej od niej za mąż nie wyszła. W złości więc swej i przewrotności umyśliła pozbyć się nienawistnej dziewczyny i posag jej dla własnej córki zagarnąć.

— Słuchajno, rzekła kiedyś do niej, była tu dziś dziedziczka ze dworu i kazała wam nazbierać grzybów w lesie. Kunusia chora iść do lasu nie może, ale ty idź jutro równo z świtem i nie wracaj, póki pełnego kosza grzybów nie przyniesiesz. Znam miejsce w lesie, gdzie ich rośnie najwięcej, i tam cię zaprowadzę.

Nazajutrz Małgorzata zaprowadziła dziewczeczkę do lasu. Wybrała umyślnie gąszcz największy, od domu oddalony, gdzie grzyby nie rosły wcale, surowo przykazując Marcysi, ażeby nie wracała bez pełnego kosza.

Napróżno szukała Marcysia grzybów między splątanemi krzakami jałowcu i tarniny. Znalazła zaledwie kilkanaście podlejszych, a obawiając się wrócić z pustym koszykiem, szukała ciągle, coraz dalej w las się zapędzając. Posiliwszy, się suchym kawałkiem chleba,

nie czuła głodu ani zmęczenia, aż naraz spostrzegła z przerażeniem, że noc zapadła, a ona sama jedna pozostała w głuchym, ciemnym lesie.

Włosy powstały Marcysi na głowie ze strachu; zdawało jej się, że wśród ciemności z za drzewa każdego wychylają się straszne postacie dzikich zwierząt, kłapiąc zębami, gotowe rzucić się na nią i pożreć ją w mgnieniu oka. Chrzęst suchych gałęzi, łamiących się pod jej stopami, napełniał ją niewymownem przerażeniem, a krzyk nocnego puszczyka wydał jej się rykiem lwa dzikiego, lub krwiożerczego wilka.

W świecących robaczkach świętojańskich widziała błyskające dziko oczy zwierząt drapieżnych, a nawet gwiazdki, przeglądające się w ruczaju, wydały jej się oczami zaczajonych na nią wrogów. A nuż zbójcy ją napadną i porwą do oddalonej, strasznej pieczary, skąd nigdy już na świat nie wyjdzie, słońka Bóże go nie zobaczy wcale.

— Matko Najświętsza, ratuj mnie, zawołała nieboga, w strasznej rozpaczce na kolana padając i wznosząc oczy łzami zalane ku niebu. Zaledwie usta jej wymówiły słowa modlitwy, aliści po niebieskim szlaku, gwiazdami zło-

temi usianym, spłynęła na ziemię niebiańska postać i cichutko stanęła przy strwożonej dziewczeczce.

— Nie obawiaj się i chodź zemną, rzekła cudownej piękności pani i biorąc za rękę ośmielone dziewczę, wiodła je przez gąszcze leśne, aż stanęły na jasnym, szerokim gościńcu. Noc przeszła tymczasem, a blada jutrzienka zaróżowiła niebo.

Marcysia ochłoneła z przestachu, a idąc ciągle obok pięknej pani, spostrzegła, że zbliżają się do znanego jej dobrze miasteczka, dokąd nieraz biegła po sprawunki.

Jarmark właśnie odbywał się w mieście, a gościniec natłoczony był wieśniakami, prowadzącymi bydełko na sprzedaż, lub spieszącymi po zakupna.

Nieznajoma zaprowadziła Marcysię na rynek, w sam środek odbywającego się targu i rzekła do niej łagodnie:

— Na sporą wyrosłaś dziewczynę, kochanie; czas pomyśleć o posagu. Wybierz, co ci się podoba najbardziej, co uznajesz za najpiękniejsze i zabierz do domu na wiano.

Marcysia milczała zalekniona, nie śmiejąc sięgnąć po materye wzorzyste, rozłożone na

straganach, po korale i wstążki krasne, nęcące oczy połyskiem i barwami tęczy. Nieznajoma pani wówczas sama zaczęła wybierać najpiękniejsze materye jedwabne na spódnice i gorsety, płótno bielutkie na koszulki i kolorowe na fartuchy, jasne chustki na głowę, prawe korale, koronki i wstążki, a ułożywszy skrzynię pełną, umieścić ją kazała na wozie, zaprzężonym w parę rączych bułanków.

— Potrzebaby ci jeszcze i krówki na gospodarstwo, rzekła znowu, i wybrawszy dwie piękne, jak śnieg białe z czerwonymi łatami, jałoszki, przywiązać je kazała do wozu.

— Wracaj teraz do domu, rzekła, gładząc główkę Marcysi, a bądź zawsze dobrą i pamiętaj o Bogu, dodała.

Zanim Marcysia, oprzytomniawszy, podziękować zdołała, piękna pani zniknęła w tłumie i napróżno oglądała się za nią rozradowana tytuł dobrodziejstwami dziewczyna.

W chacie Jędrzeja tymczasem Małgorzata udaje niespokojną i wygląda niecierpliwie Marcysi, ciesząc się w duszy, że nie wraca. Zła i przewrotna kobieta sądzi, iż sierota zabłądziwszy w lesie, zginie z głodu i pragnienia, nie wróci już do chaty ojcowskiej, nie upomni się o swe miano, a ona zagarnie

wszystko dla Kunusi, która odtąd wszechwładną będzie panią w chacie ojczyma.

Zawczesna przecież była radość Małgorzaty. Pod wieczór bowiem, gdy zasiadła z córką i Jędrusem do wieczerzy, biadając niby żałośnie, gdzie Marcysia się obraca, naraz turkot jadącego wozu odezwał się na gościńcu, wrota podwórka otworzyły się szeroko i wjechał wóz, naładowany towarami, a dwie krówki, porykując radośnie, dumnie kroczyły obok. Na skrzyni wysokiej siedziała uśmiechnięta i wesola Marcysia, niby pani i właścicielka wszystkich tych bogactw i dobytku.

Zadrżała z gniewu Małgorzata, gdy posłyszła o spotkaniu w lesie hojnej pani i zobaczyła bogactwa zawarte w skrzyni, lecz na pozór cieszyła się razem z Jędrzejem szczęściem Marcysi. Umyśliła przecież córkę swą także wysłać do lasu, a nuż i ona spotka nieznajomą i z tylu darami do domu powróci?

Nazajutrz zaraz zrana wyprawiła Kunusie do lasu, dając jej koszyk z żywnością i pouczając, co ma czynić. Mija dzionek cały, wieczór nadchodzi, Małgorzata wybiega na gościniec, córki oczekując, lecz na gościńcu pusto i głucho, a prócz psa naszczekiwania nic więcej nie słyszać. Niecierpliwość jej

wzrasta, a zły humor wylewa na głowę niewinnej Marcysi, obsypując ją gradem złorzeczeń i jej przypisując zgubę córki.

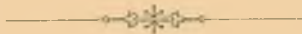
Księżyc już wypłynął na niebo i bladym światłem oblał zagrodę Jędrzejową, gdy wreszcie od strony miasta usłyszano odległy turkot. Biegnie Małgorzata, otwiera bramę, lecz słowa powitania zamierają jej na ustach, gdy widzi wóz nędzny, zaprzężony w parę chudych, ledwo wlokących się szkapiąt i obok dwie chude, dyszące stare krowy.

Na wozie siedzi Kunusia na drewnianej skrzyni zła i nachmurzona i zdaleka już woła na matkę: A mieliście mnie poco do lasu wysyłać; zmężyłam się, wygłodziłam, strachu wyżyłam i cóż mam w nagrodę? Warto się było trudzić dla dwóch krów chudych i szkap starych, które ledwo dowlokły mnie do domu.

Małgorzata, nie posiadając się z gniewu, sięga do skrzyni, z przekleństwem na ustach odchyła wieko, lecz cofa się przerażona. Zamiast spodziewanych bogactw, węże i żmije z strasznym sykiem podnoszą jadowite głowy, rzucają się na złe i przewrotne kobiety. Konie zamieniają się w wilki, krowy w straszne bry-

tany i w mgnieniu oka matka i córka giną
w żarłocznych ich paszczach.

W chacie Jędrzeja została Marcysia z ojcem,
któremu osładza starość i sieroctwo, używając
rozumnie niespodzianych darów i szerząc wokół
szczęście i dobrobyt.



24. Wycieczka Ani.

—  chciałabym chodzić bosą, mówiła Ania wracając w upalny dzień czerwcowy z przechadzki i pchając przed sobą wózek z lalką, ulubioną i nieodłączną towarzyszką. Lalki widać prawie nie było pod stosem polnych kwiatów i paproci, które Ania zerwała na łące i w lesie, aby ułożyć piękny bukiet w wielki wazon, stojący w salonie na stole.

Jak mama się ucieszy, widząc świeże kwiaty, myślała Ania, przystawając na chwilę i spoglądając na pola, słońcem oblane i goniąc wzrokiem ptaszki, szybujące w powietrzu. Byłaby tak stała bez końca, gdyby mama nie była jej zawołała do domu.

— Mamo! prosiła, siedząc w pokoju, pokaż mi tę książkę z obrazkami dzieci na polu.

Mama podała jej książkę, wypełnioną obrazkami, a Ania przewracała dopóty karty, póki nie znalazła obrazka, o który jej chodziło.

— Patrz, mamo, zawołała, otoż tu bawia

się dzieci na łące, biegają swobodnie wśród trawy wysokiej i wonnych kwiatów, a żadne z nich nie ma ani trzewików, ani pończoch.

— Prawda, odparła matka. Dzieci te biegają boso, bo nogi ich od urodzenia nie są przyzwyczajone do obuwia. Ty przecież nie potrafiłabyś tak chodzić i pokaleczyłabyś nóżki.



Ania pomyślała: Dla czegoż i ja nie umiałabym chodzić boso? Spróbuję.

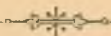
Następnego dnia Ania wybrała się na zwykłą wycieczkę, lecz zaraz za ogrodem zdjęła trzewiki i pończoszki i bosemi nóżkami stała po zielonej trawie i mchu miękkim.

Sprawiało jej to wielką przyjemność i myślała sobie: Ot, jak dobrze umiem chodzić boso, a jak to chłodno, lekko i przyjemnie. Zajdę aż nad strumyk i nazbieram tam niezapominajek.

Strumyk był dość oddalony od domu, a im bliżej Ania była celu, tem trawa wydawała jej się ostrzejszą, pełną drobnych ukrytych, lecz ostrych kamyczków i wystających suchych łodyg.

Nóżki bolały Anię coraz więcej, ale nie chcąc przyznać się do tego, mówiła sobie: Niechno dojdę do strumyka, zimna woda ból złagodzi.

Przyspieszyła kroku i coprędzej obiedwie bose nóżki zanurzyła w strumyku. Wbrew przecież oczekiwaniom zimna woda nietylko nie uśmierzyła bólu, ale ostry kamień, zdradliwie w jej głębi ukryty, przeciął Ani dość głęboko nóżkę. Z dotkliwym bólem zaledwo doszła Ania, starannie kamyczków po drodze unikając, do miejsca, gdzie zostawiła trzewiczki i pończoszki, mówiąc sobie w duszy: Mama miała słuszość, nogi moje nie są przyzwyczajone do chodzenia boso.



25. Sierotka.

y, dzieci szczęśliwe, które macie ojca i mateczkę, pielęgnujących was troskliwie, pojąć nawet nie możecie, jak smutnym bywa los sieroty. Sierota opuszczona, sama na świecie, zdana na łaskę i opiekę ludzi obcych, roni łzy rzewne nad swą dolą i z zazdrością a smutkiem spogląda na dzieci, obdarzone czułą pieśczętą matki.

W chacie zamożnego gospodarza chowała się dziewczynka-sierota. Matka z dalekiego świata przyszła do wioski, niosąc na plecach wążkę dziecinę, a wprosiwszy się do domu gospodarza bogatego za chleba kawałek i przytułek pod opiekiem, pracowała dla niego ciężko w polu i w podwórzu. Siły sterane wędrówką daleką zawiodły niebogę i wkrótce oddała Bogu ducha. Jedyne dziecko pozostało na łasce bogatych gospodarzy.

— Cóż pocniemy z sierotą? zapytał Maciej żony.

— Abo co, odparła Maciejowa, kobieta skąpa i gderliwa, dosyć mamy dzieci własnych; niech włóczęga gdzieindziej poszuka chleba.

— Bójże się Boga, kobieto, odrzekł litościwszego serca Maciej, toć nie wypędzimy jej z domu na zimę srogą. To i owo posłużyć może w chacie, a latem przyda się do paszenia gęsi choćby.

Sierotka została w chacie Macieja, ale pożał się Boże ciężkiej jej doli. Zła i chciwa gospodyni zamęczała maleństwo pracą nad siły, głodziła ją i biła, nigdy dobrego nie dając słowa. I byłoby nieboże umarło chyba z żalu i tęsknoty, gdyby nie Najświętsza Panna, która miłując szczególnie sierotki, odwiedzała ją we śnie i o matce przynosiła wieści.

Bezlitosna gospodyni w chłodny i wietrzny dzień jesienny kazała sierotce pognać krowę do lasu. Poszło maleństwo głodne, zziębnięte, źle odziane z kawałkiem chleba czarnego w zanadrzu, a wiatr ostry smagał bez litości jej nóżki bose i twarz odsłoniętą. Łachman,

okrywający plecy sieroce, niedostatecznem był odzieniem przed zimnem przejmującym i sierotka przytuliła się skostniała do pnia lipy rozłożystej, szukając schronienia pod jej konarami. Nagle w koronie drzewa, okrytej po-
żółkłemi liśćmi, zabłysło światło cudowne, rzucając blaski złociste i sierotka tuż koło siebie usłyszała głos słodki i łagodny, niby powiew wietrzyku:

— Oddaj mi swą chustkę, sierotko, a weź płaszcz mój w zamian.

Podniósłszy oczy do góry, ujrzała panią przedziwnej urody, oddalającą się z uśmiechem anielskim na twarzy, a w tejże chwili poczuła miłe ciepło, ogarniające całą jej istotę. Wiatr jesienny napróżno szalał i dał bezli-
tośnie, krople deszczu napróżno uderzały o twarz dziewczynki, sierotce ciepło i rażno było w płaszczu Najświętszej Panny.

Zdziwiła się Maciejowa, gdy Marysia sierotka wesoła i uśmiechnięta wróciła do domu, a mszcząc się, że nie doznała krzywdy, na noc wypędziła dziewczynkę do zimnej i ciemnej sionki, dając jej za posłanie jedynie garść słomy pod głowę.

Nad dolą sieroty ulitował się Burek, pies podwórzowy, bity tak samo i głodzony jak

ona. Łeb swój kudłaty położył tuż obok główki Marysi, a dziewczynka objąwszy rączką kark jego, sterczącą okryty sierścią, znużona płaczem i zmorzona głodem, usnęła wreszcie.

Zaledwie przecież sen przymknął jej powieki, aliści z niebios stropu na złocistym szlaku spłynęła Najświętsza Panienka do sioła. Na widok poniewierki sieroty łzy zamgliły przenajświętsze oczy, a zebrawszy na pobliskiem polu rękoma własnymi puszyste gałązki ostu, jak śnieg białe, a jak wełna miękkie, wróciła do sierotki i usłała jej wygodne łoże.



Dziecię z rozkoszą tonie na miękkim posłaniu, niby w puchu łąbędzim i uśmiecha się przez sen do aniołków

i matki swej ukochanej, a Najświętsza Panienka delikatną ręką zbiera łzy, niby perły zawisłe na rzęsach sieroty, i kreśli krzyżyk nad jej czołem. — Zła kobieta tymczasem, chcąc się przekonać jak śpi sierota na nędznem posłaniu, wychodzi z izby do ciemnej sionki i widząc wspaniałe łoże, usłane puchem łąbędzim, w którym tonie mała główka Marysi,

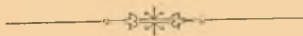
a ściany sionki błyszczące drogocennemi kamieniami, staje zdrętwiała niemal z zadziwienia i złości.

Brutalną ręką wyrywa dziecinę z miękkiego gniazdka, rzuca na zimną, glinianą podłogę izby, a własną córkę wyciąga z pod ciepłej pierzyny i umieszcza na wykwintnem pościeliu. Zadowolona i szczęśliwa, okrywwszy swe dziecko starannie miękką i puszystą pościelą, kładzie się w łóżko, nie zatroszczywszy się nawet o Marysię, marznącą na zimnej, twardej podłodze.

Obudziwszy się wczesnym porankiem, spieszy do córki, ale jakież było jej przerażenie, gdy ukochane swe dziecko zobaczyła drżące z zimna pod nędznym i podartym łachmanem, który zwykle sierotce do przykrycia dawała, leżące na ostrej, sterczącej słomie. Brylanty i rubiny, jaśniejące w nocy na ścianach sionki i wydające blask przepyszny, zmieniły się w krople wody, dodając zimna i wilgoci ciemnej sionce, a puch łabędzi, okrywający sierotkę, w ostre i suche badyle na wpół przegniłej słomy.

Panienka Przenajświętsza usłane dla sieroty własnemi rękami łoże przeniosła na glinianą podłogę izby i Marysia wstała rano

rześka i jędrna, podczas gdy wypieszczona córka gospodyni zziębła, skostniała i nawpół żywa wróciła do ciepłego posłania w izbie matczynej, pamiętając zawsze noc w sionce spędzoną i posłanie wydarte sierocie.



26. Strojnisia.

Na wysokiem krześle przy oknie siedziała mała Anielcia. W jednej rączce trzymała książkę otwartą, ale zamiast przyglądać się z upodobaniem pięknym obrazkom, patrzała zamyślona przed siebie, chłodząc się wachlarzem, w drugiej trzymanym rączce. Nóżkami zaledwo dotykała ziemi, ale widocznie wyobrażała sobie, że jest dorosłą panną, i z powagą poruszała wachlarzem, ciesząc się, gdy lekki wietrzyk muskał jej buzię różową i złociste loki.

— Nad czem tak duma moja dziewczynka, zapytała matka, wchodząc do pokoju.

— Mateczko, zawołała Anielcia, zrywając się z siedzenia, powiedz mi, proszę, dla czego ubierasz mnie w skromne wełniane i perkallowe sukienki, podczas gdy rówieśniczki moje chodzą w aksamitach i koronkach?

Twarz pani Wierzyckiej powlokła się smut-

kiem. Nie przypuszczała, aby córeczka jej myślała już o strojach.

— Perkalowe sukienki twoje równie są ładne i świeże, odrzekła, jak stroje twych przy-



jaciółek, a mojem zdaniem, sukienka skromna lepiej ubiera grzeczną dziewczynkę, aniżeli aksamity, które przystoją starszym.

— Kapelusz mój z grubej słomki wstążką tylko opasany, a Marylka sąsiadki naszej ma tiul i piękne strusie pióro, mówiła Anielcia z nadąsaną minką, a przecież mama jej nie jest bogatszą od nas.

— Skąd ci myśli takie przyszły do główki? zapytała pani Wierzycka. Czy nie słyszałaś tyle razy, iż nie suknia zdobi człowieka, lecz dobre uczynki i piękne przymioty serca i umysłu? Patrz jak czysto wyprana i wyprasowana sukienka czeka, abyś się w nią ubrała. Pospiesz się żwawo i dalejże na świeże powietrze bawić się piłką i obręczą, dodała matka, całując Anielcię.

Dziewczynka, acz niechętnie, przywdziała różową sukienkę, skromny kapeluszyk włożyła na główkę, a po chwili przez otwarte okna dochodziły wesołe wybuchy śmiechu bawiących się swobodnie dzieci.

Za dni kilka przypadały imieniny Anielci. Dzieweczka doczekać nie mogła dnia uroczystego. Z pierwszym promieniem słońca wyskoczyła z łóżeczka, ciekawa, co odbierze od swej patronki. Jakaż była radość jej i uciecha, gdy na krzeselku, tuż przy łóżeczku, ujrzała rozłożoną piękną białą kaszmirową su-

kienkę, przybraną koronkami z niebieską szarfą i takiemiż kokardami na ramionach. Jako uzupełnienie bogatego stroju, będącego od dawna marzeniem Anielci, leżał obok wielki kapelusz z cieniutkiej słomki, przybrany ogromnem piórem białem i puklami z wstążki. Na poręczy krzesła wisiały dwa rzędy perełek z pięknym zameczkiem, a na ziemi stały ma-lutkie, złote pantofelki.

Anielcia tańczyła i skakała z radości i le-dwo nie udusiła w uściskach swej cioci, a za-razem chrzestnej, od której pochodziły wszyst-kie te piękne rzeczy. Zajęta przymierzaniem sukienki i kapelusza, spojrzała przelotnie na niebieską perkalową sukienkę i biały far-tuszek, dar od matki, i myślała tylko o tem, czy wolno będzie jej ubrać się w strój paradny.

Imieniny przypadały w niedzielę, a po obiedzie Anielcia z matką i ciocią pójść miała do ogrodu za miastem, gdzie zbierały się zwykle znajome rodziny i gdzie dzieci ba-wiły się wspólnie. Na usilne prośby dziewe-czki pani Wierzycka pozwoliła jej przybrać się w podarek od cioci, a Anielcia wystro-jona, z dumą postępowała obok matki. Zda-wało się próżnej dziewczeczce, że każdy z prze-chodniów podziwia jej piękną sukienkę, że

każdy obraca się za wspaniałem piórem na kapeluszu i spogląda z upodobaniem na jej zgrabne pantofelki.

Przyszedłszy do ogrodu, stanęła w kole czekających na nią koleżanek, dumna i zadowolona, że od razu stała się podziwem zebranych dziewczynek, które z okrzykami zachwytu dotykały perełek na szyi, oglądały pióro i wstążki.

— W co będziemy się bawiły? zapytała Anielcia, może w kotka i myszkę?

Wnet utworzyło się koło i Anielcię, jako myszkę, gonić zaczął jeden z chłopczyków. W zapędzie gonitwy pociągnął kot nieuważny za szarfę i wspaniała kokarda rozwiązała się natychmiast, a wstążka zgnieciona spłynęła aż ku ziemi.

Anielcia pobiegła do matki, prosząc o zawiązanie wstęgi.

— Powinnaś uważać więcej na siebie, rzekła pani Wierzycka i nie zniszczyć pięknego stroju.

— Dobrze, mamu, zawołała Anielcia i w podskokach pobiegła do goniącej się gromadki. Przy wyścigach sukienka Anielci zaczepiła się o wystające gałęzie krzaków

i dziewczynka ujrzała z przerażeniem, jak cały kawał rozdartej koronki zawisnął w strzępach z boku sukienki.

Z łzami w oczach pobiegła do matki, prosząc o śpilkę, aby naprawić szkodę.

— Jak można być tak nieuważną? Czy nie wiesz, jak bogaty strój masz dziś na sobie?

Anielcia westchnęła, a przypiąwszy koronkę, pobiegła bawić się w piłkę.

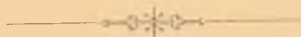
Po chwili wesołej zabawy któryś z chłopczyków, rzuciwszy niedość zręcznie piłkę, uderzył Anielcię w kapelusz, który spadł na ziemię, a śnieżnej białości pióro zbrukało się w piasku i pyle.

Wypadek ten zniechęcił do reszty Anielcię. Nic nie mówiąc, usiadła na boku i nie biorąc udziału w wesołej zabawie towarzyszek, przesiedziała smutnie do chwili powrotu do domu. Jak chętnie byłaby chciała strojną sukienkę zamienić na zwykłą perkalową, w której mogła biegać i hasać do woli, a choć ją splamiła, szkoda nie była zbyt wielka, bo plama schodziła w praniu i sukienka znów była świeża i czysta.

Poznała próżna dziewczynka, że matka

miała słuszność, ubierając ją skromnie i zostawiając swobodę w zabawie.

Wróciwszy więc do perkalików, nigdy już nie zapragnęła odtąd być niewolnicą stroju.



27. Wojtuś.

Przed dawnym bardzo czasem chodził po świecie Pan Jezus z ulubionym swym uczniem, Piotrem świętym. Szli od sioła do sioła, wstępowali do chatek, cieszyli się z ludźmi szczęśliwymi, pocieszali strapionych i smutnych. Nie omijali łąk zielonych, strojnych w różnokolorowe kwiaty, ani lasów ponurych, pełnych zwierza dzikiego, przechodzili przez strumyki bystre z srebrzystymi rybkami i brnęli przez błota i bagna, pełne gadów i płazów podstępnych.

W jednej z takich wędrówek, znużeni i strudzeni zasnęli w lesie pod cieniem dębu rozłożystego. Wtem Pan Jezus ocknął się, uczuwszy ból dotkliwy w nodze, a otworzywszy oczy, ujrzał pełzającą szybko żmiję jadowitą. Ona to zatrutem żądłem ból zadała Panu Jezusowi i przerwała sen jego sprawiedliwy. Rozgniewał się Piotr święty, posłyszawszy co zaszło i rzekł: Panie i mistrzu mój, czy do-

zwolisz, aby nędzne gady pełzały nadal po świecie, uprzykrzając się ludziom? Czy nie ukarzesz zuchwalstwa ich i złośliwości?

Nic nie odrzekł Pan Jezus, a wzięwszy kostur w rękę, w dalszą udał się drogę. Niezadługo napotkali chatę ubogiego bartnika, który słodkimi plastrami miodu, podbieraniem pszczołom leśnym, zasilał okoliczne sioła, dostając w zamian chleb czerstwy i dzban mleka.

Widząc podróżnych, wstępujących w próg chaty, położył na stole plaster miodu i chleba czarnego kawał, prosząc, aby się posilili i wypoczęli po uciążliwej drodze.

— Jak ci na imię, dobry człowieku? — zapytał Pan Jezus siadając na ławie.

— Zwa mnie powszechnie „Wojtusiem“, odparł chłopiec, kłaniając się nisko.

— Znasz zapewne dokładnie las cały? — badał Pan Jezus dalej.

— Nie obcy mi żaden zakątek, znam każdy niby izbę własną, odparł Wojtuś.

— Weź więc wór duży, przewieś go przez ramię, idź w las i napotkane żmije, jaszczurki, węże i ropuchy zbieraj starannie i kładź do worka. Uważaj, aby nie uciekła ci która, a gdy wór będzie pełen, nie oglądając się

poza siebie, nie odpoczywając w drodze, idź nad brzeg morza i gady z worka wrzuć do wody. Chcę, aby ziemia wolną była od złośliwego robactwa. Idź i uczyn, jak rozkazałem.

Podróżni w dalszą udali się drogę, a chłoppek wyszedłszy do lasu, w wór ogromny zbierać począł zwinne jaszczurki, mieniające się kolorami tęczy węże, brzydkie szare ropuchy i gładkie, śliskie żmije. Nakładłszy wór pełen, podług rozkazu szedł ku morzu, aby w głębinie wód nieprzejrzanych pozbyć się ciężaru. Zmęczył się przecież nieborak, a niepomny zakazu, usiadł na przydrożnym kamieniu i zdrzemnął się nieco. Zbudził go wkrótce syk jakiś dziwny, szelest niezwykły, i przeraził się nie mało, ujrawszy gady uciekające z worka i z przeraźliwym sykiem i hałasem rozbiegające się na wsze strony. Napróżno starał się pozbierać buntowników i napowrót pokłaść do worka.

Węże i jaszczurki ukryły się w pobliskich gąszczach, żaby rehcąc przeraźliwie uciekały szybko w potwornych skokach, a zwinne żmije wyprzedzały towarzyszków i zaledwo już dojrzeć je mógł przestraszony Wojtuś.

Widząc, że próżna byłaby pogoń za zbie-

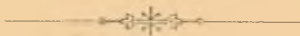
gami, stanął bezradny, a wtem odezwał się głos surowy:

— Za karę, że nie posłuchałeś mego rozkazu, że nędznym płazom pozwoliłeś rozsypać się po ziemi całej, będziesz odtąd bocianem. Żyć będziesz na mokrych i bagnistych łąkach, a pożywieniem twem będą gady i płazy, które z błota i wody wyciągać będziesz długim dziobem.



Zaledwo przebrzmiał wyrok surowy, aliści Wojtuś zamienił się w ptaka na wysokich, cienkich nogach, z długim czerwonym dziobem, a stanąwszy w grzaskiem bagnie na jednej nodze, wyławiać począł żaby i jaszczurki z mokrej topieli.

Odtąd jako bocian, zwany ogólnie „Wojtusiem“, oczyszcza świat z jadowitych gadów, którym niebacznie rozejść się pozwolił.



28. Bojaźliwa Lucia.

Władek, pokończywszy lekcye, przeciągnął się, ziewnął głośno i wyrzał oknem.

— Ach, doskonale! zawołał, widzę, że Wandzia ma gościa, małą Lucię z przeciwka, ma-lutką, głupiutką dziewczynkę, która boi się cienia własnego. Świetny pomysł przychodzi mi do głowy; zabawię się znakomicie, rzekł, a biorąc kapelusz wybiegł do ogrodu.

Za kilka chwil stanął na łące, dokąd Wandzia zaprowadziła swego gościa, a zrywając kwiaty i wijąc z nich wieńce starała się zabawić nieśmiałą towarzyszkę.

Lucia, jedynaczka w domu rodziców, pozbawiona towarzystwa sióstr i braci, nawykła do samotności. Godzinami całemi bawiła się lalką, ubierając ją, czesząc i rozmawiając z nią, a gdy znużyła ją ta zabawa, prosiła niani, aby opowiadała jej bajeczki.

Pocziwa Ludwika, chcąc zadowolnić swą pieśzczoszkę, opowiadała jej baśnie o zakłę-

tych królewnach, gadających ptakach, a częściej ponad to, o rozmaitych strachach, czarownicach i olbrzymach, którzy biorą krnąbrne i niegrzeczne dzieci. Lucia rzadko wprowadzie bywała krnąbrną i upartą, ale karmiona bezustannie fantastycznymi o strachach baśniami, poczęła bać się wszystkiego i na szelest najmniejszy kryła się w ostatni kącik. Do ciemnego pokoju nie byłaby poszła wieczorem za nic w świecie, a nareszcie bała się psów, kotów, ptaków, myszy, upatrując u każdego z tych zwierząt złe zamiary, myśląc, że każde za zbliżeniem chciałoby ją drapać, bić i kąsać.

Wandzia starała się wybić jej z główki niedorzeczne obawy, ale na próżno, a Władek utrzymywał, że nie pozbędzie się wprzód urojeń, dopóki jej ludzie nie wyszydzą i nie wyśmieją i że podobny nierozsądek zasługuje na ukaranie.

Z gotowym też planem przybiegł na łąkę, udając, że chce dzielić zabawę dziewczynek.

Zaledwo przecież usiadł obok nich, zaczął naśladować brzęczenie osy, co udawało mu się tak naturalnie, że nawet Wandzia obejrzała się, szukając złośliwego owadu. Lucia słysząc brzęk złowrogi, to tuż koło ucha, to znów nad głową, to z przodu, to z tyłu, nie



wiedziała co czynić z obawy i opędzała się, ile jej sił starczyło, machając rozpaczliwie rękami. Władek śmiał się głośno, aż wreszcie Wandzia nie mogąc znieść dłużej złośliwej zabawki, wzięła Lucię za rączkę i uprowadziła ją na środek łąki.

Usiądźmy tu na kopcu siana, rzekła, i ułożmy wiązanekę z zebranych kwiatów, dodała, patrząc z wyrzutem na Władka, zanoszącego się od śmiechu.

Dzieweczki nie zdążyły jeszcze ułożyć bukietu, gdy tuż za niemi odezwało się głośne szczekanie psa.

Lucia zerwała się z trwogą, a gdy szczekanie powtórzyło się wkrótce, poczęła co tchu uciekać, nie zważając na wołania Wandzi, usiłującej ją zatrzymać.

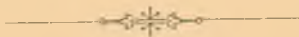
Przestрах dziewczynki potęgowało ciągle szczekanie, coraz to głośniejsze i bliższe i głos Władka, udającego niby, że psa odpędza. Wandzia błagała napróżno złośliwego chłopca, aby zaprzestał szczekania, zwracając mu uwagę na nieszlachetność podobnego postępowania. Im więcej błagała, im szybciej biegła Lucia, tem więcej cieszył się okrutny chłopiec nad swym nieludzkim figlem. W szalonej pogoni przebiegli łączkę i pole od ogrodu ich od-

dzielające, aż naraz biedna Lucia potknęła się o kamień i upadła pod płotem ogrodu w sam środek rosnących tam bujnie pokrzyw.

I tutaj nie ochłoneła z przestachu, a biorąc ból z poparzenia za pokąsanie przez psa, tym większym przejmowała się strachem, krzycząc w niebogłosy.

Nadbiegającej Wandzi udało się wreszcie uspokoić ją i zaprowadzić do domu. Tam twarz, rączki i nóżki dotkliwie poparzone obmyła jej Wandzia zimną wodą, wstydząc się za złośliwy figiel brata.

Niemniej przecież wstydził się Władek swego pomysłu, zobaczywszy Lucię z czerwonymi na twarzy śladami i żałował szczerze, że złośliwością swą tyle sprawił jej bólu i strachu, a jak Lucia od dnia tego pozbyła się choć w części nieuzasadnionej obawy, tak Władek, nie chcąc uchodzić za okrutnika bez serca, raz na zawsze stracił chęć do płatania złośliwych figli.



29. Dwie siostrzyczki.

— **N**ie uwierzysz, mamusiu, jak się cieszę, że mam małą siostrzyczkę. Siostrzyczka malutka daleko jest ładniejszą od lalki... wołała Zosia. Mama z uśmiechem słuchała jej szczebiotu, a więc po chwili mówiła dalej:

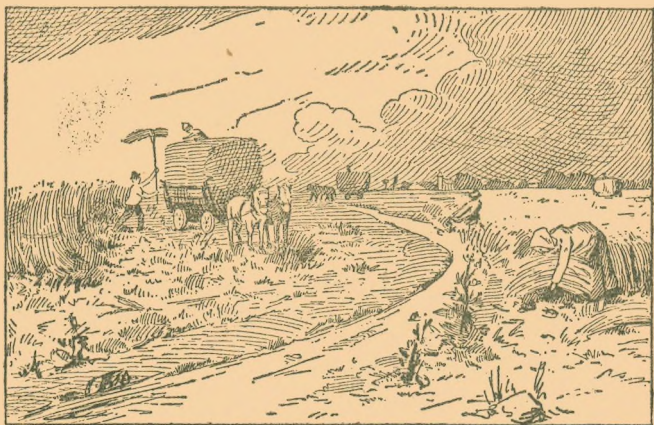
— Siostrzyczka umie mówić, chodzić, umie bawić się zemną, a jeżeli się zmęczy, nie jest mi ciężko nieść ją troszeczkę. A jak to zabawnie ubierać ją w płaszczyk i kapotkę, gdy wychodzi na przechadzkę. Jak grzecznie i cichutko stoi, gdy zapinam jej guziki płaszczyka i zawieszuję wstążeczki kapotki — Jak mądrze spogląda na mnie i jak mówi słodko „dziękuję ci, Zosiu.“

— Widzę, że i teraz zabrana jest w płaszczyk i kapotkę, mówiła mama, spoglądając przez okno.

— Tak, zawołała Zosia, wybieramy się do lasu i przyszedł tu tylko po kapelusz. Niania przyniesie tam za nami podwieczorek,

który zjemy w cieniu drzew. Będziemy się bawić doskonale, — Felunia zabierze swą białą owieczkę, którą dostała na imieniny. Ach! mamó! jak to będzie pięknie!

Zosia, jako opiekunka, wzięła malutką Felunię za rączkę i zaprowadziła ją na pole, gdzie właśnie żęncy kosili zboże i ustawiali



je w snopki. Ażeby maleńka widziała wszystko, Zosia podniosła ją w górę, a Felunia klaskała w rączki i śmiała się wesoło. Naraz wśród robotników spostrzegła znanego sobie pastuszka, który nieraz zabawiał ją wesoło i przynosił jagniątka lub kózki do pogłaskania i poczęła go wołać po imieniu.

Tomek rzucając grabie, przybiegł do dziewczynki, a uchylając kapelusza, zawołał:

— Panienko, panienko, tam za łaskiem, gdzie się rozpoczyna jezioro, można coś pięknego zobaczyć. Na małej wysepce postawiono domeczek, a po jeziorze pływają dwa pyszne, białe łabędzie.

— Felunia chce je widzieć, zaczęła wołać małą, składając rączki i patrząc błagalnie na Zosię.

— Nie zaszłabyś tak daleko, kochanie, rzekła Zosia, a zresztą niania ma nas szukać w lesie.

— Panienko, zawołał Tomek, ja zaniosę małą, ona tak lubi ptaki, a nie widziała nigdy łabędzia. Znam krótką drogę przez las i zanim niania nadejdzie, będziemy już na umówionym miejscu.

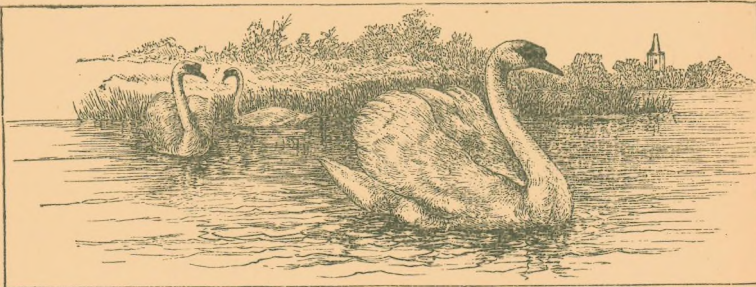
Tomek był wyrosłym, silnym chłopcem, więc na zezwolenie Zosi wziął małą na ramię i począł z nią galopować. Dziecię klaskało w rączki, śmiało się, wołając „hop, hop, wio“, a Zosia patrzyła z radością na zabawę ukochanej siostrzyczki.

Wkrótce stanęli nad jeziorem, a zachwyt Feluni nie miał granic, gdy na środku przeczystej i błękitnej jak niebo wody zoba-

czyła dwa śnieżno-białe, ogromne ptaki, pływające z powagą.

— To gęsi, duże gęsi, wołała.

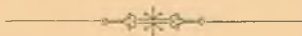
— Nie, kochanko, to łabędzie, powiedziała Zosia, patrz, jak piękną, giętką mają szyję i jak śnieg są białe



Zosia wyjęła z kieszonki bułeczkę i drobiąc ją na kawałki, rzucała łabędziom, które zbliżyły się nad brzeg, goniąc za żerem.

Napatrzywszy się i nacieszywszy do woli, dziewczynki pod opieką Tomka wróciły do lasu, dokąd właśnie z strony od domu spieszyła niania z podwieczorkiem.

Dziewczynki usiadły pod drzewem, a zaprosiwszy Tomka, dzieliły się z nim przysmaczkami, opowiadając niani, jakiej za jego namową doznały przyjemności.



30. Biczuk.



najnędzniejszym zaułku miasta Warszawy mieszkał ubogi rymarz. Do niskiej jego chaty bieda zaglądała oknami i drzwiami. Żona chora od miesięcy kilku nie mogła pomagać mężowi w pracy około domu i dzieci, których spora gromadka wołała żałośnie: „chleba, chleba!”

Biedny rymarz, nie mogąc wydołać ciężkiej pracy i zarobić na utrzymanie chorej żony i dzieci drobnych, stracił zupełnie wiarę i ufność w własne siły, opuścił ręce i z rozpaczą przypatrywał się, jak coraz większa bieda wkradała się do zasobnej niegdyś chatki. Nie mając za co kupić towaru, potrzebnego na rzemień, szory i bicze, które dawniej wyrabiał tak pięknie i zręcznie, nie mógł przyjmować zamówień i zdawało się, że chyba rodzinie całej przyjdzie umrzeć z głodu.

Nieszczęsny człowiek, przywiedziony do rozpacz, nie mogąc słuchać jęków schoro-

wanej żony i żałosnego wołania dzieci, wybiegł z domu, a tułając się po ulicach, chciał rękę do przechodniów wyciągać i błagać o jałmużnę. Wstyd przecież wrodzony i poczucie godności osobistej powstrzymywało go od żebraniny.

Widok strojnych pań i panów, sklepów z wystawnemi oknami, pełnemi przedmiotów



Medal, bity w stuletnią rocznicę powstania Kościuszkowskiego.

zbytku, stragany przekupek z rumianemi bułkami i bochenkami chleba, przywodził go na grzeszne myśli, ciągnąc gwałtem do sięgnięcia po bogactwa nie własne i kupienia za nie zdrowia żonie, pożywienia dzieciom. Chwila jeszcze, a byłby biedak posunął się do występku, gdy wtem uwagę jego zwrócił nie-

zwykły tłum ludzi, cisnący się na pobocznej ulicy.

Zaciekawiony zwrócił się w tamtą stronę i wśród ciżby rozpromienionych radością ludzi ujrzał jadącego środkiem ulicy na siwym koniu rycerza w białej chłopskiej sukmanie z czworograniatą czapką na głowie i szablą u boku. Tłum podrzucał w górę czapki, wołając: „Niech żyje naczelnik! niech żyje Tadeusz Kościuszko!“

Rymarz z niezwykłą siłą, jakiej rozpacz jedynie udziela, przecisnął się przez zwarte tłumy, a dotykając niemal strzemienia rumaka, zawołał, litości!

Kościuszko spojrzał uważnie w twarz proszącego, a widząc rysy wyniszczone głodem i nędzą, sięgnął ręką do kieszeni. Niestety prócz drobnej monety nic tam nie znalazł, bo dobre jego serce aż nazbyt miało sposobności do wydania całego zasobu pieniędzy. Podał więc rymarzowi adres swego mieszkania i kazał tam się stawić.

Nie omieszkał rymarz wypełnić polecenia i stanął wkrótce przed obliczem Kościuszki. Ośmielony łagodnymi słowy opowiedział nędzę swą straszną, chorobę żony, głód dzieci, nie zamilczał nawet o pokusie, jakiej doświad-

czył co dopiero i rzucając się do nóg naczelnika, rzewnymi zalał się łzami.

Zamyślił się Kościuszko, aż wreszcie rozczulony podniósł rymarza i dając mu kilkanaście złotych, rzekł: Nie mam więcej, aby na razie wspomódz cię skutecznie. Posłuchaj przecież, co ci powiem. Za otrzymane pieniądze kup towaru i do jutra zrób kilkanaście biczyków na konie. W południe przejeżdżać będę przez ulicę, przy której mieszkasz i przekonam się naocznie o prawdzie twego opowiadania.

Rymarz podziękowawszy, pospieszył do domu, a zakupiwszy nieco żywności dla żony i dzieci, za resztę zaopatrzył się w skóry i zabrał do wyrobu biczyków. Nie wiedział wprawdzie, coby znaczyło zalecenie Kościuszki, ale pełen wiary w jego słowa, z całą energią wziął się do pracy. Nie odpoczywając i w nocy nawet, do dnia następnego przygotował spory zasób biczyków.

Tadeusz Kościuszko tymczasem dowiedział się przez adjutanta o rymarzu, a przekonawszy się, że mówił prawdę i że słynął dotychczas jako uczciwy człowiek i zdolny rzemieślnik, wybrał się około południa na nędzną uliczkę, przy której było mieszkanie rymarza.

Otoczony swiłą bogatych i strojnych rycerzy, jechał Kościuszkowski na białym rumaku, a chłopska jego sukmana, krasnemi wyszywana sznureczkami, i pawie piórko u białej konfederatki błyszcząco zdala wśród wspaniałego orszaku, dodając niezwykłego uroku rycerzowi-bohaterowi. Na niskim progu chatki oczekiwał rymarz z biciem serca świetnego pochod rycerzy. Kościuszkowski z dobrotliwym uśmiechem zatrzymał się przed ubogim domkiem, wołając na rymarza: Hej, przyjacielu, podaj-no mi biczek na konia, bo mój złamał się w drodze.

Rymarz podał biczek, a Kościuszkowski, próbując go, zawołał, obracając się do rycerzy: Wyborny biczek, panowie, wart dukata, a rzuciwszy pieniądz oszołomionemu rymarzowi, pojechał dalej, trzaskając biczkiem.

Rycerze i panowie z orszaku naczelnika rzucili się hurmem ku rymarzowi, kupując biczki. Posypały się białe i żółte pieniądze w kiesę rymarza, a gdy zabrakło biczków, zamówienia sypnęły się gradem i Kościuszkowski nie dojechał jeszcze na drugi koniec ulicy, a z ubogiego przed chwilą nędzarza stał się znów zamożny rzemieślnik, pełen nadziei i otuchy na przyszłość.

Każdy w Warszawie zapragnął mieć biczek

podobny do biczyka Kościuszki, a rymarz, nie mogąc sam wydołać zamówieniom, zmuszony był otworzyć warsztat, przyjąć czeladź i w krótkim czasie tyle zarobił pieniędzy, że poratował żonę i wychował dzieci. Przez życie całe błogosławił imię Tadeusza Kościuszki, który w rozumny i szlachetny sposób, bez znacznych sum pieniędzy umiał nieść pomoc bliźniemu.



Nr 645689

150

KSIEGARNIA

ANTYKWARIAT



Nr 645689

XXXXXXXXXXXXXX

109607

Nakładem K
A. CYBULSKIEGO

wyszły jeszcze następujące

Biblioteka WSP Kielce



0152867

Bławatek.	25
Czołem!	25
Fiolki.	25
Niezabudka.	25
Pierwiosnek.	25
Różyczki.	25
Spioszek.	25
Trzawiczek.	25
Dla małych i młotkich.	50
Wiosenne kwiecie dla ciebie, dziecko.	50
Kotki.	75
Konieczynka.	75
Wakacje.	75
W cieniu.	75
Bebenek dla grzecznej dziewczynki.	1,50 mk.
Naszym pieszczotkom.	
(Wielki format.)	3,00

Sredni format

kami i udatnemi
wierszykami. Nr. 1,
4, 5, 7, 8 i 15
odznacza się
oryginalnym, nie-
bywałym dotąd
formem.

Raj dziecięcy. Parawanik na grubym kartonie z rozciągania i ustawiania; bez tekstu, z barwnymi obrazkami zwierząt domowych i dzikich. 1,50 mk.

Chociszewski. Czarodziejska lampa w afrykańskiej jaskini. Xa. Xa. 25 fen., opr. 40 fen.

— Hemorysta polski, z 16 ilustr. 50 fen., opr. 65 fen.

— Wesoly czarodziej, z 12 ilustr. 40 fen., opr. 60 fen.

— Powieści i podania ludowe, z 34 ilustr. 80 fen., opr. 1,20 mk.

Dziuryt. Na bruku. 60 fen. Z podłaską 60 fen. Obrazki z życia miejskiego. Oprawne razem w pięknej czerwonej okładce płóciennnej 1,60 mk.

— Na Jasnej Górze. Powieść z XV w. wieku, z 5 ilustr. J. Kossaka i innych. 1,20 mk., opr. 1,50 mk., oprawne w czerw. płótno 1,60 mk., z wykładaniem 1,75 mk.

— U kolan babuni. Zbiór powiastek dla młodzieży z 7 ilustr. 80 fen., kart. 1,20 mk., opr. w czerw. płótno 1,40 mk.

Elementarz Polski Poznański, t. zw. „z aniołkiem,” „najlepszy i najtańszy,” z 33 ilustr. 30 fen.

Kabala czyli sztuka wrózenia kropkami. 15 fen.

Rzecz o lichwie. Podręcznik nader pouczający i niezbędny dla rolników, kupeców i przemysłowców. 20 fen.

Sta., Bez Pana, powieść historyczna z XI w. 1,80 m., w pięknej czerwonej oprawie płóciennnej 2,50 mk.

Wielkopolanka. Dzieje narodu polskiego dla ludu i młodzieży. 50 fen., opr. 65 fen.

Obszerne katalogi na żądanie gratis i franco!